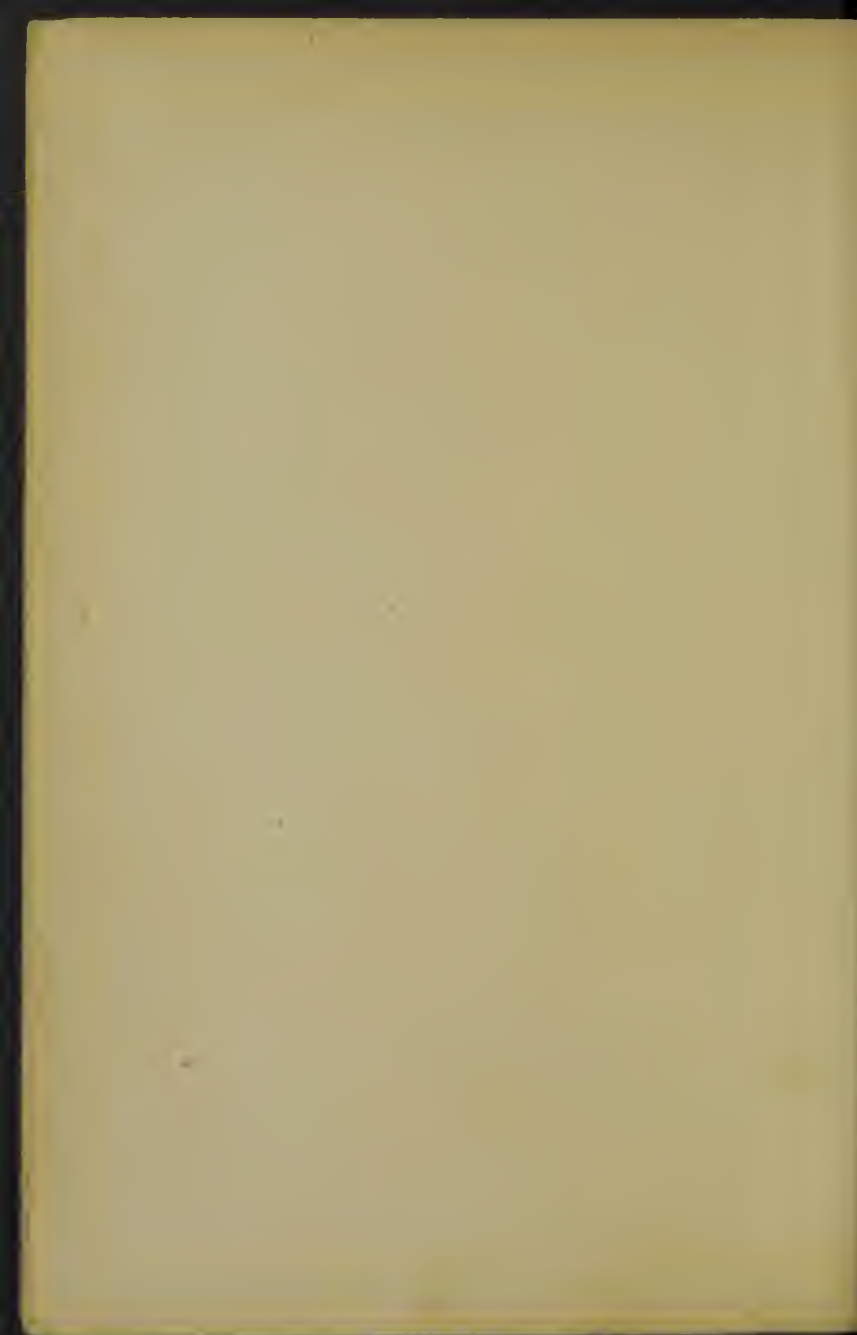


WYBÓR POWIEŚCI
J. I. KRASZEWSKIEGO
(WYDANIE TANIE).

SERYA II.

Tom siedmdziesiąty pierwszy.



MĘCZENNICY.

CZĘŚĆ DRUGA.

M A R Y N K A.

OBRAZY ŻYCIA WSPÓŁCZESNEGO

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM III.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA

1886.

Дозволено Цензурою
Варшава, 27 Ноября 1885 года.

Nazajutrz jedna z pierwszych dowiedziała się Laura Lacerti, że przyjaciółka jej znikła... Głuche wieści chodziły o zagadkowym tym wypadku. Mówiono, że wychodząc z teatru dała się prowadzić Corsiniemu, oddaliła umyślnie od swej towarzyszki. i—nie powróciła do domu. Nikt nie powątpiewał na chwilę, że romans między nauczycielem, a uczennicą potajemny, od dawna trwający, za zgodą Marynki, skończył się porwaniem.

Lacerti klaskała w ręce... Utrzymywali jedni, że się to skończy małżeństwem. drudzy, że włosch obejdzie się bez wiążącego go na wieki błogosławieństwa.

Percival milczał zasepiony. Volanti wściekły był i całą noc spędził na poszukiwaniu, miotaniu się, na badaniu Krzewskiej, nie mogąc darować sobie, że dziewczę miał za tak skromne i że sam nie skorzystał z jej płochości...

Krzewska naturalnie całą winę składała na Marynkę, przypominając, że zawsze ją miała za skrytą,

chytrą i upartą. Ona także teraz opowiadała, iż miała od dawna poszlaki prowadzonego z włochem romansu i tajemnego porozumienia.

Gdy z rana dyrektor z uzaleniem, z narzekaniem wpadł do barona, wywodząc mu to wszystko, bystrzejszy od niego Percival odparł stanowczo:

— Wszystko to potwarz i kłamstwo. Ja lepiej ją znałem od was wszystkich... Z włochem romansu nie miała. Ceniła go może jako nauczyciela, uśmiechała się do człowieka. Jakiś podstęp, zdrada... jakiś gwałt się stał, do którego ta stara czarownica Krzewska należała niezawodnie. Sprzedała ją włochowi albo za pieniądze, co trudno, lub za co innego...

Dyrektor nie chciał temu wierzyć.

Pornszał ziemię i niebo, poszukując zbiegłej. Policya przepłacona, uproszona jak najpilniej się krzątała, aby odkryć poszlakę jakąś... Nie było nic na trop mogącego wprowadzić. Posłano do mieszkania Corsiniego i nie znaleziono go w niem... Nie było wątpliwości, że on był uwodzicielem i sprawcą.

Krzewska około południa następnego dnia, ochłonawszy po wczorajszem wzruszeniu, namysliwszy się nad tem, jak miała postąpić, przytomniejsza, ostryglejsza, grała nieco lepiej kamedyę swą...

Wybierała się odjeżdżać napowrót na Litwę, i żądała od Volantego wiatyku, lecz zniechęcony dyrektor, gniewny na nią, wręcz odpowiedział, że złamanego nie da szeląga.

Krótkie są dni zimowe na północy, zmierzchać zaczynało, a Krzewska leżała w swoim pokoiku na kanapie, rozmyślając co pocznie, gdy w domu usłysza-

ła chód, szepty, ruch jakiś. potem otwierające się drzwi pokoju Marynki...

Zerwała się zdziwiona... Wtem służąca biała i zdyszana, otworzyła drzwi i rzuciła jej głosem dziwnym:

— Panna jest!

Powiedziawszy to. zniknęła.

Krzewska. którą powrót więcej może dotknął niż porwanie, zerwała się równemi nogami i skoczyła do pokoju dziewczęcia...

W pół mroku mogła dojrzeć od progu Marynkę leżącą na łóżeczku swem. bladą jak trup. skostniałą.

Suknie na niej były potargane. włosy w nieładzie, na rękach opadających widać było ślady ran... Oczy miała przymrużone, zdawała się pół umarłą.

Krzyk i zbliżenie się Krzewskiej nie rozbudziło jej, oddech tylko świadczył. że żyła. lecz życie to całe wewnątrz skupione wrażeń zewnętrznych zdało się nie przyjmować. Siły były wyczerpane, ostatkiem ich przywlokła się tutaj.

Zobojętniała. zepsuta Krzewska. na widok tej ofiary. którą miała na sumieniu, wzdrygnęła się i poczuła srom a boleść. Przyklękła przy łóżku. obejmując jej głowę rękoma. cucąc ją... jęcząc...

Sługa wniosła właśnie światło. które padając na tę twarzyczkę, wczoraj jeszcze świeżą, rozkwitającą spokojnie, ukazało straszliwe ślady jakiejś walki. która rysy jej zmieniła do niepoznania.

Oczy, których nie otwierała. były zapadłe głęboko, bladeść okrywała skronie. usta konwulsyjnie zaciśnięte. drgały jeszcze. jakby siląc się na wołanie

Z rąk pokaleczonych, z sukni podartej, można było wnosić, że ratując się, musiała ważyć życie...

Krzewska rozplakała się, sługi poczęły ją odcierać, podano wody, rzeźwiących soli...

Marynka poruszała się, jęczała, lecz oczu otworzyć, słowa przemówić nie chciała... Pierwszym znakiem powrotu do życia były łzy, które się strumieniem z jej oczu puściły...

Im więcej czuła się winną i obawiała, aby ją o to nie posądzano, tem mocniej starała się Krzewska dowieść swej wielkiej miłości dla dziewczęcia. W tej chwili też ludzkie serce musiało się w niej odezwać.

Jedna ze służ, która widziała rozpacz, gniew i straszliwe rozdrażnienie Volantego, domyśliła się, że należało dać mu znać o powrocie zginionej. Sama więc schwyciwszy sanki, pobiegła do niego, aby mu opowiedzieć, w jakim stanie powróciła Marynka, i zażądała wezwania doktora.

Prawie gwałtem zmuszona biedna męczennica, wzięła do ust kilka kropel wody, odwróciła się do ściany i płakała.

Krzewska nie mogła z niej dobyć ani słowa.

Stan ten trwał do przyjazdu dyrektora, który wpadł jak burza wprost do pokoju sypialnego Marynki, ciągnąc za sobą lekarza.

Stan chorej był wprawdzie łatwy do rozpoznania, lecz potrzeba było wiedzieć co go spowodowało... a dziewczę mówić nie chciało.

Volanti wreszcie zażądał, aby wszyscy się do drugiego pokoju oddalili. spodziewając się, że wymoże z chorej coś, coby go na drogę naprowadzić mogło.

— Jesteśmy sami, rzekł pochylając się nad łóżkiem: zaklinam panią jako opiekun jej, chciej mi wyznać całą prawdę... Potrzebuję jej... Zbrodnia nie może ujść bezkarnie...

Umrzeć chcę! umrzeć! nic więcej!... jęknęła Marynka.

Krótką chwilę panowało milczenie, nagle podniosła się z łóżka, otworzyła oczy, wstała, usiłując na chwiejących się nogach utrzymać i padła bezsilna...

— Stało się więc to bez woli jej?... bez zezwolenia? rzekł nieopatrznie Volanti.

Krzyk okropny wyrwał się z jej piersi. i Marynka wstała powtórnie... Piers jej ogniem dyszała ..

— Słuchaj pan! krzyknęła, chwytając go konwulsyjnie za rękę—słuchaj mnie.... Tak! powinienes wiedzieć wszystko. abys nie śmiał mnie posądzać...

Lecz płacz i brak głosu, przerwały jej mowę.

— Słuchaj pan!... powtórzyła: jam niewinna! Ten niepoczeiwy człowiek, którego imienia wymówić nie mogę. ten zbójca... wywiózł mnie. zaręczając, że jedziemy do domu. Byłam straszliwie osłabioną i senną, nie wiem czy mi co dano w napoju.. usnęłam w drodze... Znalazłam się potem przebudzona w bramie domu, na wschodach, których nie rozpoznałam. aż gdysmy weszli do mieszkania. Tu, pomimo osłabienia, ogarnął mnie przestach... ocuciłam się... rzuciłam do drzwi... były już zamknięte. Łotr ten klęczał przedemną...

Marynka oczy sobie zakryła.

— Nie śmiał się targnąć na mnie. bom pochwyconym ze stołu nożem groziła śmiercią nie jemmu. ale

sobie... Krzyczałam i wołałam napróżno, w pustej ulicy nie słyszał nikt. Cudem potrafiłam dostać się do drugiej jakiejs izby, której kluczem zamknęłam się od niego. W oknie zeszła mi cała noc, w próżnem oczekiwaniu jakiego przechodnia i ratunku... Byłam na pierwszym piętrze... Łotr ten dopraszał się i dobijał do drzwi ciągle, dopóki nie wiem co go od nich nie odwołało... Na sznurze od firanek spuściłam się na ulicę.

To mówiąc poranione pokazała ręce, i płacz znówu mówić jej nie dał.

Volanti z przerywanych jej wyrazów dowiedział się już, ile mu było potrzeba, aby lekarzowi dać jakąś wskazówkę...

— Uspokój się pani! słuchaj doktora. rzekł; zbrodnia popełniona bezkarną pozostać nie może.

Marynka porwała się z krzykiem.

— I każecie mi stawać przed obcymi ludźmi. abym świadczyła.. przeciwko sobie samej? Wszak. dla kobiety dosyć jest być posądzoną!

Volanti prosił jej znówu, aby się uspokoiła, zawołał lekarza, któremu szepnął słów kilka. Sam wysunął się do pierwszego pokoju i siadł rozmyślać. co ma począć.

Wypadek stał się tak głośnym. niestety! że ukryć go, ani zatrzeć nie było podobna.

Wspomnienie o napoju, o senności. obudziło w nim podejrzenie na Krzewską. Zwrócił się do niej wprost z pytaniem. co piła Marynka w domu. i czy jej co podano w teatrze?

Wdowa, rozpływająca się we łzach. zaklinała się, że pamięć straciła. że nie wie.

Volanti udał się do sług... i po pierwszym zapytaniu, jedna z nich z krzykiem mu odpowiedziała, że gdy herbatę wieczorną sprzątnięto, w filiżance panienki pozostała miała smak tak dziwny, że jej nikt w usta wziąć nie mógł.

Wieczorem nie było w domu nikogo oprócz Marynki i wdowy. Volanti wprost poszedł do niej, i sam na sam zamknął się w pokoju z rozpaczającą.

— Pani byłaś w zмовie i spisku z Corsinim. rzekł. Dałaś w herbacie pupilce swej jakąś przymieszkę, która ją nspić miała. Są na to świadkowie i dowody. Corsini i pani możecie być przed sąd pociągnięci.

Krzewska rzuciła się przed nim na kolana, wołając:

— Nie gub mnie!

Było to wyznanie.

Dyrektor za warunek kładł szczerą spowiedź, z całego uknutego spisku.

Krzewska składała winę na włocha, który ją zapewniał, że uczennica go kocha, że raz pochwyciona chętnie mu odda rękę i t. p. Tłómaczyła się, że chciała jej szczęścia, że widząc ją smutną, znużoną, spodziewała się tym związkiem spełnić jej życzenia.

Cała ta bałamutna powieść nie zaspokoila pewno Volantego, lecz przyjął ją w milczeniu, rozmyślając tylko jak wyjść z całego zawikłania.

Krzewska porwawszy krucyfiks, poprzysięgła wierne służyć...

Wyszedł Volanti.

Doktor i powołana kobieta, która nawykła była czuwać nad chorymi, zostali przy Marynce... Okazały

się stłuczenia silne, rozwijała gorączka, a choć młode życie nie było w niebezpieczeństwie, lekarz długą i ciężką przepowiadał chorobę.

Zaledwie Volanti powrócił do mieszkania, potrzebując spoczynku i chcąc zarządzić środki jakieś, aby poszukiwań zaprzestano, a wypadek został wytłumaczony bez uszczerbku dla sławy Marynki, rozmyślał właśnie nad tem, gdy, nie opowiadając się nikomu, wpadł do niego Corsini.

Na widok jego, Volanti porwał się z takim gniewem, chwytając rewolwer ze stolika. że włoch cofnął się ku progowi, uląkłszy się o życie. Ochłonął przecież francuz i krzyknął tylko na sługi. aby go precz za drzwi wyrzucili.

Nim to nastąpiło, Corsini dopadł rewolweru, i rozbroiwszy nieprzyjaciela, począł wołać:

— Słuchaj mnie pan! Musisz mnie pan słuchać. Idzie tu o honor kobiety. Przychodzę oświadczyć, że się żenię z panną Maryą. Wszystko w ten sposób będzie zmazane...

Dyrektor czas miał się namyślić.

— Ofiara pańska życie ważąc, uszła od niego, to najlepszy dowód, że znać go nie chce.

— Musi! wybuchnął Corsini, inaczej całemu światu będzie wiadomo, że ja j porwał i... była u mnie...

— Nie mam żadnego prawa rozporządzać ręką panny Maryi, odparł zimno francuz. Spróbuj pan sam prosić jej o przebaczenie i rękę.

Zatrzymał się trochę Volanti.

— Ja panu to tylko muszę powiedzieć, że nie honor kobiety. ale wasz własny potrzebuje ratunku

— Procesu mi nie zrobicie! krzyknął Włoch.

— Nie wiem, rzekł Volanti. Możemy go nie potrzebowali nawet, aby osądzono go i bez długich wywodów.

Włoch począł się śmiać spazmatycznie.

— Chce, czy nie, musi pójść za mnie, dodał.

Dyrektor zbył go milczeniem... Odwrócił się z wolna i spokojnie na pozór wyszedł drugimi drzwiami, zamykając je za sobą.

Corsini postawszy chwilę, rewolwer cisnął na stolik i musiał wyjść także...

Nie upłynął kwadras. jak Volanti już po kilku próbach pośpiesznie na papier rzuconych. następujące ogłoszenie do dzienników wysyłał:

Wielkie wrażenie w stolicy uczynił wypadek, jaki spotkał tak świetne rokującą nadzieję śpiewaczkę naszą, już ulubioną publiczności, pannę Maryę Burcelli. Najdziwaczniejszymi domysłami starano się wytłumaczyć zniknięcie jej w chwili, gdy z teatru powracała do domu. Dziś wszystko to wyjaśniło się w sposób jak najuaturalniejszy, i jest nadzieja, że żadnych smutnych następstw nie pociągnie za sobą.

„Konie w powozie, którym jechała p. M. B. przestraszone uniosły go. ze strzaskanej karety omalą wyniesiono. i znowu rodzinę kupiecką... otoczyła ją najtroskliwszem staraniem i opieką, dopóki oprzytomniawszy nie zgłosiła się do własnego domu, gdzie w śmiertelnej na nią trwodze oczekiwano.

„Dziś panna M. B. znajduje się już we własnem mieszkaniu, a pomimo stłuczeń bolesnych, doznanej trwogi i wrażenia. jakie wypadek wywarł na artystkę naszą, mamy nadzieję, że wkrótce znowu ujrzymy ją

ocaloną na scenie.

„Doktor S., znakomitość nasza, któremu tylu cierpiących zawdzięcza życie i zdrowie, nie odstępuje łoża chorej i t. d.“

Nie pytając nikogo o radę. Volanti natychmiast ogłoszenie wysłał do dziennika, z którym był w stosunkach, prosząc, aby wiadomość tegoż wieczorn wydrukowana była.

Można sobie wyobrazić podziwienie panny Lanry, gdy właśnie wśród najgorętszych rozpraw o tym skandalu, który jej taką sprawił radość, przyniesiono numer dziennika. a chciwie zawsze przerzucająca go panna Lacerti zobaczyła w nim opis wypadku.

Z podziwienia krzyknęła cyganka, podnosząc gazetę do góry. Wszyscy ją sobie z rąk wyrywali. Lacerti potrząsnęła głową:

— Volanti jest bardzo, bardzo zręczny!.. zawołała. Ale są wypadki, których drukarskie czernidło zatrzeć nie może z pamięci... Historyjka jest dosyć zręcznie zmyślona... tylko kto w nią n wierzy?

Czytało ją w całym mieście z komentarzami rozmaitymi... Baron Percival wpadł do Volantego, aby z niego posłyszeć prawdę...

— Ale cóż baron chcesz, abym mu powiedział więcej nad to, co jest wydrukowane?... odparł dyrektor... Święta prawda!.. Konie poniosły, karetę się wywróciła, rozpadła w kawałki. Ten zbój Corsini, który towarzyszył pannie Maryi, wyszedł z niebezpieczeństwa mało co potłuczony; ona... leży chora.

— Tak, odezwał się Percival, wszystko to dobre jest dla innych, mnie możesz powiedzieć, jak to było?

— Mówię, co wiem. rzekł nparty dyrektor. Gdy da Bóg pauna Marya wyzdrowieje, spytasz jej samej... powie ci...

Baron skłonił się w milczeniu.

— Czy jest w niebezpieczeństwie? zapytał.

— Doktor mi zaręczył, że życiu nic nie zagraża, ale choroba długa być może.

I Volanti dodał po dyrektorsku:

— Dla mnie jest to cios wielki... Koszt ogromny... a któż wie. kiedy znów na scenę wystąpić będzie mogła?

Spojrzeli sobie w oczy i zamilkli.

Baron nie pytał już więcej.

Oznaki współczucia dla ofiary wypadku dowiodły, jak debutantka serca sobie umiała pozyskać. Wszyscy się u drzwi chorej zapisywali. począwszy od hr. Samsonowa i księcia Agatona.

Tegoż wieczoru Corsini, który zuchwale kręcił się po mieście i pokazywał po kawiarniach, przeczytał w dzienniku powieść napisaną przez Volantego, i gorzko się jej nśmiechnął. Zadać jej kłamstwa nie śmiał... Zdusił gazetę w rękę i rzucił ją ze złością, namyslając się co czynić dalej.

Drugiego dnia wezwany był niespodzianie do jednego z wyższych urzędników, który przyjął go bardzo grzecznie. Uczyniono mu tu uwagę, że pasport jego wyszedł od dawna. i że odnowienie go nie mogło być inaczej nyskane, tylko za powrotem w strony rodzinne... Toż samo usłyszał w poselstwie włoskiem, które radziło mu usilnie, aby po doznanych wypadkach pojechał leczyc się w lepszym i łagodniejszym klimacie, a z opuszczeniem stolicy nie zwlekał.

Włoch jednak, pomimo tych wskazówek wielce znaczących, zrozpaczony, wściekły, chciał jeszcze spróbować, czy mu się pobytu przedłużyć nie nda. rachując na to, że rozgłosem zmnsi nieszczęśliwą dziewczynę do oddania mu ręki. Lecz stało się z nim, co się zwykle dzieje z każdym, któremu noga się pośliznęła. Jedni wcale go nie przyjmowali, drudzy odprawiali z niczem...

Wszyscy patrzali na niego krzywo...

Lacerti, do której drzwi zapukał, tylko przez ciekawość dała mu chwilę posłuchania.

W tym stanie ducha, w jakim rozgorączkowany znajdował się Corsini, zręcznej cygance bardzo było łatwo dobyć najzupełniejsze zwierzenie się ze wszystkiego.

Byli sam na sam, włosz głowę postradał. Klnąc i płacząc, począł opowiadać, jak go do zuchwałego kroku namówiła Krzewski. jak mu go poniekąd nłatwiła, opisał całą przygodę z największymi szczegółami, a na ostatek i swoje odwiedziny u Volantego, i rozkaz wyjazdu, który otrzymał.

Lacerti słuchała go z żywym zajęciem, na przemiany radująca się, gniewna, w końcu oburzona, bo się w niej niewieście odezwało serce.

Corsini spodziewał się współczucia i rady, gdy na ostatek Laura parę kroków odstąpiwszy od niego, zmierzyła go pogardliwym wejrzeniem, wskazała drzwi i zawołała rozkazująco:

— Wynoś się! precz!

Jak pijany stoczył się ze wschodów włoszysko i zniknął z ulicy.

Wieczorem ze zwykłą swą fizyognomią zastygłą, nieodgadniętą, baron Percival wsunął się do mieszkania Volantego, który wielkimi krokami chodząc zamysłony, gryząc w ustach zagasłe cygaro.

— Jakże się ma chora? zapytał.

Dyrektor z początku nie rozumiał, tak w myślach był zatopiony.

Baron pytanie powtórzył, siadając.

— Troszkę lepiej,—rzekł Volanti z westchnieniem.

Francuz podumał trochę...

— Wiesz już? zapytał.

— O czym? drgnąwszy podchwycił dyrektor.

— Corsini sobie w łeb wypalił! dokończył baron spokojnie.

Volanti zbladł; przez chwilę panowało milczenie.

Baron z uwagą popatrzał w twarz dyrektorowi, który mocno zdawał się wzruszony...

— Tem lepiej... zakończył Volanti... Wszystko skończone.

Z łoża boleści wstała Marynka, po długiej wewnętrznej męczarni, zmieniona, zmęźniała, z energią jakąś i mocą nad sobą, której się po niej nikt nie spodziewał. W ciągu choroby, oprócz tych kilku słów,

które zmuszona była czasem wyrzec do kogo. trwała w upartem milczeniu. Gwałtowne wzruszenie pierwszych dni przemogła, powracała do życia, jakby zbrojna do niego. rozczarowana, chłodna, lecz panią siebie. Widać było. że nie zrzekała się przyszłości, ale ją sobie osnuła za wczasu i umiała się z nią pogodzić. choć się wcale nie zwiastowała szczęśliwą.

Pewne względy wymagały tego, aby natychmiast po wypadku nie odpędzać Krzewskiej. Zbyt widocznym stałby się był jej udział w tym zamachu zbrończym. który Corsini życiem przypłacił. Lecz Marynka jej wcale nie widywała, Volanti unikał. i Krzewska musiała udawać chorą, ze związaną głową siedząc w swoim pokoju.

W czasie choroby Marynki, której Volanti okazywał największe współczucie i otaczał ją najtroskliwszem czuwaniem. zaszły dla niego ważne i na przyszłość wielki wpływ mające wywrzeć wypadki.

Księżna Teofania, pomimo wieku swojego, który ją zdawał się zabezpieczać od podobnej choroby. dostała ospy... Ponieważ w początkach wcale się jej lekarz nie domyślał i nakazał jakieś chłodzące środki przeciw gorączce, przebieg choroby był najniebezpieczniejszy.

Volanti. którego to pozbawiało wszelkich nadziei, na jakie tylko rachował, musiał być nieodstępnym przy chorej; stracił głowę, zaniedbał teatr, opuścił nawet na czas jakiś Marynkę...

Zabiegi jego. starania doktora, na nic się nie przydały: księżna nie zrobiwszy żadnego rozporządzenia, nieprzytomna. w gorączce życie skończyła...

Rodzina zgłosiła się natychmiast do spadku. i Volanti nie miał nawet czasu zapewnić sobie prawie tego, co mu za życia ofiarowała stara księżna. Odebrano mu willę, zasekwestrowano rozmaite kosztowności w jego mieszkaniu i tylko pośrednictwu przyjaciół winien był, że bez skandalu rodzina go odprawiła.

Mówiono po cichu, iż niewielką jakąś summą usta mu zamknięto.. Volanti przez dni kilka chodził jak zabity; nierychło dopiero trochę przytomności i energii odzyskał.

Ponieważ Zosiczowa została bez miejsca i zajęcia, bo i jej rodzina wypowiedziała przytułek, mając Krzewską odesłać na Litwę, Volanti ją zaprosił, aby przy Marynce pozostała. Zgodziła się na to z wdzięcznością.

Burczakówna też wiadomość o tem przyjęła wdzięcznie.

Wprawdzie niewiele sobie po jej towarzystwie obiecywać mogła, lecz знаła ją dobrą, łagodną, spokojnego usposobienia i jakby stworzoną na taki cień, który nie mając swej woli, towarzyszyć musi sierocie, a być świadkiem niemym każdego jej kroku.

Krzewska na wyjeździe, nawet do Marynki na pożegnanie nie przyszła. W czasie rzekomej swej choroby, uprzedzając powrót na Litwę, wysłała listy do marszałkowej, do której się znowu dostać chciała, i do majora... Kulwiszowi nie donosiła nic, oprócz tego, że jej zdrowie nie dozwala wytrwać w klimacie ostrym; marszałkowej obiecywała ciekawe opowiadania o tym świecie, na który patrzała.

Marynka sama, obawiając się, aby do starego matki przyjaciela nie doszły wiadomości przesadzone a straszne, napisała do niego uspakajając go o siebie. i zapewniając, że ma bardzo dobrą towarzyszkę w miejscu Krzewskiej.

List ten pisząc biedne dziewczę, pomimo całej mocy nad sobą, wspomnieniem matki, Berezówki, cichego litewskiego kątku, życia w nim spędzonego tak wesoło... nawet pocziwego niezgrabnego Jurasia i starego Żantyra, do łez ją poruszyło... Jakże tamta Marynka śpiewająca na łące, od tej nieszczęśliwej męczennicy, wielkiej artystki, osamotnionej, zbiedzonej, bez opieki zostawionej samej sobie nie była podobną!

Poczwarną niemal wydawała się jej ta metamorfoza, jakiej los na niej dokonał.

Z za łez, które jej się mimowolnie z oczu lały, widziała w dali Berezówkę... serce jej biło... Wrócić tam! wrócić! zdawało się szczęściem jedynem...

Nie mierzyla przepasci. jaka ją od tych miejsc i czasów dzieliła. Mogła powrócić do cichego zaścianka, ale czy w nim mogła być szczęśliwą?

List do majora wysłany był bardzo w porę i napisany tak, że mógł zapobiedz temu, co powiozła Krzewska.

Nie obawiając się już tam niczego, można się domyslać, jakienią potwarzami mścić się chciała za niepowodzenie swe w stolicy. Oszczędzać Marynki nie czuła się wcale w obowiązku...

W mieście też, pomimo wszelkich starań Volan tego, aby wypadek ów w innem świetle się wydał niż był w istocie, prawdziwa historyjka gwałtownego po-

rwania śpiewaczki, którą Lacerti słyszała z ust samobójcy, potwierdzona jego zgonem. rozchodziła się z temi wszystkimi niezbędnymi wariantami. jakie złość i głupota ludzi czepia do każdej smutnej powieści... Najrozmaitsze role przyznawano w tem Marynce...

Bądź co bądź, chociaż miano zapewne zamiar zaszkodzić jej temi plotkami. nie powiodło się to wcale. Owszem zwróciło to na nią uwagę, obudziło zajęcie. dało urok jakiejś heroiny tragicznej... dla tłumów nadzwyczaj ponętny... Niecierpliwie dowiadywano się już, kiedy na nowo wystąpi.

Lacerti, pamiętna tego, że jej pewną życzliwość okazała Marynka, a nie chcąc z nią zrywać stosunków, w czasie choroby zarzucała ją biletami.

W czasie osamotnienia długiego dosyć. bo siły nie powracały tak prędko. dziewczę rozmyślało wiele nad sobą. nad przyszłością, nad postępowaniem z ludźmi.. Czuła w nich nieprzyjaciół lub chciwych do skorzystania z każdego jej fałszywego kroku. nigdzie serca, nigdzie rzeczywistego współczucia... Smutne doświadczenie otwierało jej oczy i czyniło nieufną.

Z ukazaniem się znowu na świecie i scenie od dnia do dnia zwlekała. Nie miała odwagi. Oprócz Volantego, który, szczególnie od śmierci księżny, dowiadywał się codziennie i coraz był o nią troskliwszy, Marynka widywała tylko lekarza. człowieka poważnego i zimnego, któremu znużenie ogromną praktyką odejmowało możność sympatyzowania z cierpieniem. i pocziwają. ale nic nieznaczącą Zosiczową. Nie zby-

wało na odwiedzających prawie codziennie. i stosami leżały bilety barona, panny Laury, hr. Samsonowa i innych wielbicieli, ale tych nie przyjmowała śpiewaczka... Volanti nie naglił o występ nowy, lecz koniec końców, ona sama czuła, że trzeba się nań było ważyć.

Uderzyła ją nadzwyczajna od niejakiemu czasu dobroć, nadskakiwanie, czułość, chęć nawet przypodobania się dyrektora... Można ją było kłaść na karb politowania, lecz jakieś przecucie wskazywało Marynce, że w tem coś innego się kryło.

W istocie Volanti po śmierci księżny. po samobójstwie Corsiniego, rozmyślając, rozrachowując, zastanawiając się nad swoim położeniem i przykrością, powziął był myśl zachwałą narzucenia się swej *divie* za męża...

Był wprawdzie niegdyś żonaty. i wedle praw francuzkich w separacyi z żoną od lat piętnastu czy więcej. Nie czuł się więc związany niczem, a długi pobyt za granicą. gdzie go znano nieżonatym i nigdy o żonie jego nie słyszano, mógł mu ułatwić ożenienie. Dopełnienie potrzebnych do tego formalności, zdawało mu się łatwe. Nietyle przywiązanie do dziewczęcia prowadziło go do tego kroku. rachuba. Marynka po rozgłośnym wypadku jak sądził. powinna była za szczęśliwą się uważać. oddając mu rękę.

Z tą myślą nosząc się dosyć długo. Volanti. gdy uspokojoną i zdrowszą zobaczył Marynkę, zjawił się do niej jednego wieczoru. Nie zastawszy jej w saloniku, szepnął najprzód Zosiczowej, aby prosiła jej i żeby sama pozostała w czasie rozmowy w drugim pokoju.

Wezwana wyszła wkrótce z tym sztucznie wyrobionym spokojem, z trochę dumy na czole i w postawie, która ją zawsze cechowała.

Volanti począł rozmowę prawie wesoło, od powinszowań, że widzi ją coraz lepiej. i że się już cieszy, bo wkrótce się spodziewa zobaczyć ją na scenie.

Smutnie na to uśmiechnęła się Marynka.

— Tym razem, odpowiedziała siadając na kanapie, prawie pewna jestem natłoku w teatrze i jeśli nie sympatycznego, to gorączkowego przyjęcia. Historia moja jest na wszystkich ustach. Stałam się mowoli lwicą!

Ruszyła ramionami i dodała:

— Okropne położenie!

Dyrektor oczyma ją badając, milczał czas jakiś.

— Wiesz pani co? rzekł: mówmy otwarcie. Ja się oddawna do tego przygotowałem. Tak jest, w istocie smutny ten wypadek rzuca pewny cień nieprzyjemny na nią, lecz w mocy pani jest zetrzeć i zatrzeć to wspomnienie.

— Jakim sposobem?... spytało zdziwione dziecko.

— Ja pani środek łatwy i skuteczny ofiaruję, odezwał się wstając Volanti i przystępując bliżej. Wprawdzie młodym i pięknym nie jestem; nie wiem czym potrafił sobie pozyskać choćby jej przychyłność. ale przywiązałem się do niej, mam szacunek dla pani. uwielbienie dla talentu. Chcesz pani podzielać złe i dobre losy ze mną?

Marynka zdumiona i nastraszona, nie odpowiadała jeszcze, a Francuz ciągnął dalej:

— Małżeństwo ze mną będzie rehabilitacją, za-
da kłam potwarzom, zamknie usta wszystkim, uwolni
panią od natrętów, da jej w świecie stanowisko, któ-
re ludzie poszanować muszą.

Mysł rzucona przez dyrektora nagle, tak dalece
była Marynce nowa, niespodziana, a tak się jej wyda-
dała dziwną, iż nie mogła długo na żadną się zebrać
odповідź.

Bądź co bądź, ofiara Volantego wydawała się
jej szlachetną, wielką, na wdzięczność zasługującą.

Poruszyło ją to.. Bez rozmysłu białą rączkę
wyciągnęła stojącemu przed nią dyrektorowi, spojrze-
ła na niego oczyma załzawionemi i odezwała się gło-
sem drżącym:

— Przedewszystkiem dziękuję panu, dziękuję,
ale daj mi pomyśleć, nigdy nie przypuszczałam nic
podobnego... Małżeństwo... ale ja o małżeństwie nie
marzyłam nawet, lękałam się go, boję, nie rozumiem...
Do tego potrzeba takiej... takiego...

Tu spuściła oczy, głosu jej zabrakło. Volanti
stał i patrzył.. Zapraǳiał ją uspokoić...

— Rozmyśl się pani, rzekł: ja przecież nie wy-
magam natychmiast wyroku, i nie byłbym może nigdy
się na krok ten ważył, gdyby nie położenie, w jakim
nas ten szaleniec swoim zamachem wtrącił.. Los pani
mnie obchodzi żywo, ale pozwól powiedzieć, że i mój
własny muszę mieć na względzie...

Przykro mi to przypominać, łożyłem wiele,
śmierć mojej protektorki księżny zadała mi cios cięż-
ki, ratować się muszę. a pani możesz być moją de-
ską wybawienia... Zrób pani małą ofiarę dla mnie,
którą ja jej będę się starał odwdzieczyć...

— Odpowiedz mi pani stanowczo. gdy się jej podoba, dodał francuz, będę czekał.

Chwilę dawszy jej spocząć. odezwał się zmieniając rozmowę:

— Jeszcze jedna rada i pytanie.

Marynka zwróciła oczy ku niemu.

— Trzeba. byś pani miała odwagę zbliżyć się do ludzi. rzekł; to unikanie ich, daje im do myślenia. Śmiało należy spojrzeć w oczy nawet nieżyczliwym. Pani sobie nie masz nic do wyrzucenia. Trzeba mieć odwagę. Zacznij pani od przyjmowania dawnych znajomych.

Czekał na odpowiedź. nad którą zdala się rozmyślać Marynka.

Kogo? zapytała.

— Gdy się pani uczujesz na siłach. rzekł Volanti. i potrafisz ukazać twarz weselszą... należałoby przyjąć. zaczawszy od barona. od starego Samsonowa, który tyle dla niej okazuje współczucia, bodaj aż do tej złej i przewrotnej Lacerti, która się będzie starała okazać jak najserdeczniejszą. Ale z nią... z nią, dodał. bądź pani jak najostrożniejszą.

Marynka, która przez całą gadatliwą Zosiczowe wiedziała. że Corsini jej opowiedział wszystko. prze-rwała nagle:

— Przed nią się nie mam z czem taić!

— Przepraszam, odparł Volanti. z nią o niczem oprócz pogody i galganków mówić nie można, bo wszystko powtórzy i na nice obróci...

Po krótkiej kilku słów wymianie. Volanti nie chcąc być natrętnym, skłonił się i wyszedł a Marynka pobięła do swego pokoju.

Wyrażenie „małą ofiarę.“ nderzyło nieprzyjemnie Marynkę. twarz się jej okryła purpurą.

— Małą ofiarę? podchwyciła. i łyżę się jej zakłęciły w oku. Więc i pan już mnie nieszczęśliwą. skalaną tym zamachem, cenisz tak mało?

Zakryła sobie oczy, Volanti przyskoczył z burzliwym zapewnieniem i zakłęciami. że słowo mu się wymknęło nierozważne. że o niczem uwłaczającym jej nie myślał.

Marynka milcząc płakała...

— Tak! zawołała rozpaczliwie z za łez: pan dla mnie czynisz wielką ofiarę, ja. którą ludzie za cudzą winę obrzucili błotem. nie mam już w oczach ich i waszych żadnej wartości... Pan będziesz bohaterem, ja upadłą istotą. którą wyciągniesz z błota...

Volanti zbliżył się, chcąc ją uspokoić. lecz rozdrażnienie było wielkie i nie ustąpiło rychło.

Wstała nareszcie. łyżę żywo ocierając.

— Masz pan słuszość, jesteś pan szlachetnym człowiekiem, rzekła gorączkowo. Dla kobiety słuszenie lub nie. dotkniętej potwarzą, splamionej podejrzeniem. pierwszym obowiązkiem jest przywrócenie niepokalanego imienia i sławy... Ofiara pańska, pana, który najlepiej znasz nieszczęsne te dzieje łez i krwi. rehabilituje mnie. Mogę ja ją odrzucić? Nie wiem czy pana potrafię uczynić szczęśliwym, wiem. że ja nigdy nie będę szczęśliwą. ale... są przeznaczenia!!

Westchnęła i dokończyła:

— Daj mi pan czas do namysłu!

Volanti z lekka dotknął jej ręki. pocałował ją i odstąpił w milczeniu.

Marynka zakrywszy oczy, usiadła na kanapce.

U pańny Laury Lacerti po widowisku, które mnogie bukiety i wieńce uczyniły tryumfem wielkim, choć po cichu przyznawano, że nigdy włoszka gorzej nie śpiewała, wielbiciele diwy zebrali się zaproszeni przez nią na jedną z tych wieczerzy bez ceremonii, na których na niczem nie zbywało, oprócz przyzwoitego tonu i ładu.

Pomimo największych starań biednej Laury, która chciała to, co nazywała swym domem, postawić na stopie wytwornej i eleganckiej, rozbijało się tu wszystko o naturę, o nawyknienia gospodyń obu. matki i córki. Stara umiała być rozrzutną, w przystrojeniu, mieszkania jaskrawą, w nakarmieniu gości zbyt kowną, ale ład utrzymać, nadać ton jakiś uroczysty swemu gospodarstwu, było nad jej siły. Napróżno przybierano i najmowano sługi, winę nieporządków, chwytałiny, rozgardyaszu jakiegoś im przypisując. Laura najmowała kamerdynerów, kupowała serwisy, mnożyła niepotrzebne sprzęty; w chwili stanowczej niespodziewane ścierki wychodziły na scenę, coś się tłukło, nie nie przyszło w porę i pod koniec przyjęcia, panował najstraszliwszy chaos.

Była w tem wina gospodyni, a w części może i towarzystwa, jakie się tu zbierało.

Nikt się nie czuł żadnemi względami dla tych pań skrzępowanym, dokazywali wszyscy. Laura kłóciła się z matką, stara łajała ją, goście się mieszały do sporów, i choćby wieczór rozpoczął się jak najklasyczniejszym spokojem, kończył się rozpasaniem i wrzawą.

Prawdą i to jest, że zwykle pijano tu dużo, szampan się lał jak woda. i głowy zawsze podchmie-

laly. Sama piękna gosposia nie gardziła Roedere-rem... i wdową Cliquot...

Wszystko to razem wzięte pobyt u Lacerti dla wielu czyniło nadzwyczaj miłym, dla innych nieznośnym. Baron Percival bywał tu rzadko, będąc przywykłym do daleko wstrzemięźliwszego towarzystwa, lecz znużony i wyżyty z czasem, gdy się bardzo nudził, szedł do panny Laury, jak do gorącej kąpieli. Nigdy jednak długo tu nie wytrwał.

Tego wieczora zjawił się niespodzianie wcale. lecz zasiadłszy z cygarem w rogu kanapki. niezbyt na światło wyttawionej, nie mieszał się do towarzystwa, które też od niego się jakoś wydzielalo. Sama gospodyni tylko okazywała się dla niego uprzedzającą i gościnną bardzo...

Oprócz kilku młokosów złotych, jednego młodego starca, który mimo łysiny i siwizny, nadzwyczaj wiele okazywał żywotności. był dnia tego i Scarlatti. sławna ballerina Cesca Viti, piękność trochę chuda, i niemniej od niej uwielbiana, zaledwie piętnastoletnia, wyrostek pełny cynizmu i wyzywającego zuchwalstwa, którego dowcip i szalona napastliwość, mężczyznę wprawiała w zachwyty.

Rosue Rosina. zwana też Rosanem, bo grywała cndnie role młodych chłopców w obcisłych spodełkach. gasiła niemal piękną Laure, choć wcale nie była piękna. Zbudowana nad lata swe silnie, muskularna, żywa, zręczna, dokazywała jak nlicznik. Właśnie to, że i sama sobie wiele pozwalała. i drugim z nią było wiele wolno, czyniło ją pojętną.

Śmiano się więc i swawolono w najlepsze. a baron Percival z jakimś smutkiem przypatrywał się te-

mu rozpasaniu. gdy Laura. której miła jego posępna nie podobala się, przystąpiła z cygareta w ustach. spytała go:

— Coście to tak chmurny i czarny, baronie? Wypowiadaj mi się. znajdziesz w czułem mem sercu współczucie, a w doświadczeniu może radę skuteczną? Masz minę jakbyś był w żałobie...

— Rzekłś. odparł baron odejmując cygaro. Uwielbiam trafność oka i doskonałość dyagnozy.

— Po kim? pytała Laura

Percival spojrział.

— Jak to? nie odgadujesz?...

— Nie umiem! Cóż chcesz. paplała Laura. od czasu jakieś dziwaczna miał fantazyę firtacyj z tą lalką litewską. nieznośną. jakieś się stał platonicznym... (tu uśmiechnęła się szydersko). nie mogę cię zrozumieć baronie! Miałżebyś chodzić w żałobie po cnotcie Rosiny, która w piętnastym roku, zepsutszą jest od nas starych?

— Dajże mi pokój z tą gamine! wzgardliwie odparł baron; nie jest wcale w moim smaku..

— Maszże baronie smak? szydersko spytała Laura. Mnie się zdaje. żeś już dostał oskomy. No, ale po kimże żałoba?

Baron zimno powtórzył:

— Zgadnij!

Lacerti się zamyśliła próżno. nic jej nie przychodziło do głowy.

— No, to chyba nie wiesz o niczem. rzekł baron z ironią jakąś i złym humorem.

— Żebyś ja mogła nie wiedzieć o czemś, co mnie obchodzi? Ale obchodziż mnie to?

— Bardzo! bardzo!... zaśmiał się baron.

— Zaczynasz mnie niecierpliwić! tupiąc ładną nóżką, odezwała się Lacerti. Mówże! odkryj tajemnicę...

Barona tak mało cała ta rozmowa z Laurą zdała się obchodzić, że nie słuchając, co paplała, podparł się na rękę, cygaro zaczął palić i jakby o niej zapomniał. Musiała go chwycić za ramię i potrącić nim.

— Baronie, niegrzeczny jesteś!... tak się kobiecy nie drażni.

— Czegóż ode mnie chcesz, kusicielko! rozśmiał się smutnie Percival.

— No, tajemnicy!

Baron ziewnął.

— Nic więc nie wiesz? nie masz przecucia? nie odgadłaś? nie przewidywałaś?

— Nieznośne żarty!

— Wcale nie żarty... rzekł Percival. Nie powiedziałbym ci tajemnicy tej, ale że jutro ona już dla nikogo krytą nie będzie. wolę być grzecznym.

Pomilczał chwilę, wytrzymując jeszcze oczekującą Laurę.

— Trudno mi nawierzyć, aby tak żywa, dowcipna, domyslna, złośliwa istota jak ty, mogła się dopiero ode mnie dowiedzieć w kilka godzin po ślubie, przy którym miałem honor być świadkiem, że panna Marya Burcelli serce i rękę oddała panu dyrektorowi Volantemu...

Wiadomość dla Lacerti tak była niespodziewana, tak dziwna, a może przerażająca, iż podniosłszy obie rączki do góry, bałaśliwie w nie uderzyła, wyda-

ła krzyk przeraźliwy, który wszystkich natychmiast do niej przyciągnął.

Trudno było rozpoznać po tym głosie, czy go z bólu. czy z gniewu wielkiego wydała.

Baron zatknął uszy...

Matka przybiegła z drugiego pokoju przerażona.

Milczenie oczekiwania padło na wszystkich.

— Burcelli! Litwinka! słyszyście! zawołała podnosząc głos gospodyni: wyszła za mąż za Volantego!

— To być nie może!... wyrwało się komus z przytomnych.

Baron się podniósł nieco z kanapki.

— W istocie, rzekł zimno i szydersko, jabym może sam temu nie wierzył, gdybym przed kilku godzinami nie miał szczęścia w kościele Św. Katarzyny być świadkiem ślubu.

Zamilkli wszyscy.

— Przyznać potrzeba, odezwała się zmienionym głosem Laura. że Volanti wcale się nie źle obrachował i biednemu Corsiniemu wiele powinien być wdzięczny. Należy mu się od niego przynajmniej nagrobek. Litwince zaś nie zazdroścę męża!

Ruszyła ramionami.

— Teraz naturalnie, przerwała śmiejąc się balerina. na panią dyrektorową i jej przeszłość, nikt słowa nie będzie śmiał powiedzieć. Wszystko w porządku!

Lacerti zamyśliła się głęboko. Wielka wesołość jaka tu panowała przed chwilą. ustąpiła jakimus poważniejszemu nastrojowi.

— Nie lubię Burcelli i z tem się nie taję. rzekła Laura: ale pomimo to. prawdziwie los jej litosć we mnie obudza.

Francuz Lubin, siedzący w kącie. niemlody już człowiek, który straciwszy głos. zszedł do kierowania chórami i miał wielki o to żal do Volantego. że go. jak mówił. ocenić nie umiał i pokrzywdził. uśmiechnął się na głos.

— Saperlotte! rzekł złośliwie. Prawda. że losu pani dyrektorowej nie ma co zazdrościć, bo choć Volanti wygląda jako tako. ale to dawno ruina. To ją zresztą mało może obchodzić, bo. byle chciała. młodszych sobie znajdzie: ale co to za małżeństwo! człowiek nie mógł się na prawdę ożenić!

Wszyscy ciekawie spojrzeli na francuza, baron wstał z kanapki i aż się zbliżył ku niemu.

— Dla czego? zapytał.

— Dla bardzo prostej przyczyny. odparł francuz: bo wiem, że Volanti żonatym był... Prawda, że dostał separacyę, ale separacya to nie rozwód. We Francyi rozwodów nie ma. ślub. który wziął. nie jest ważny.

— Pleciesz! zakrzyzczała go Laura.

Inni spoglądali na francuza, który obojętnie zamilkł Percival tylko nie odstąpił.

— Seryo pan to mówisz? rzekł do niego. Nie żartujesz?

— Wiem o tem bardzo dobrze co mówię. odezwał się nadąsany francuz... Chyba mu ta żona pierwsza zmarła...

Epizod ten. który oprócz barona mało kogo zajął, natychmiast zatarty był rozmową ogólniejszą.

której przedmiotem głównym był Volanti. Zastanawiano się nad jego charakterem, każdy bowiem sądził o nim i wyobrażał go sobie inaczej.

— Moi panowie! wniosła Lacerti: ja go może lepiej znam od was wszystkich, dla tego, że mam przenikliwość kobietom daną. jako broń przeciw przemocy męskiej, i dla tego, że Volantego potrzebowałam i zależała od niego. Volanti jest najchytrzejszym z ludzi. Serca w nim nie szukać... temperamentu także, bo starszym jest niż się wydaje. została w tych gruzach tylko ambicja i chciwość. W pole go nikt nie wywiedzie, a nawet młoda żona nie zapanuje nad nim; ożeni się z nią, by ją wyzyskać...

Westchnęła Lacerti.

— Mimo to, odparł złośliwie baron. patrząc na nią z ukosa: pozwól sobie powiedzieć, że gdyby się z tobą chciał ożenić, byłabyś za niego poszła.

Śmieszki się dały słyszeć stłumione. Laura oczy rozpłomienione podniosła.

— Nie wiem... rzekła zakąsując usta. Poszłabym była może, aby rozegrać z nim partyę, w której wiadomo ktoby został zwycięzcą.

Lacerti chciała zmienić przykry tok rozmowy.

— Ale powiedz baronie, na Boga, jak się to stało? Dawno o tem byłeś uwiadomiony? Jak mogłeś na to pozwolić, ty, coś się tak zawsze gorąco zajmował losem sieroty...

Percival brał za kapelusz, ale się wstrzymał z pożegnaniem i z wolna nakładał rękawiczki.

— Tak dalece o niczem nie wiedziałem, odezwał się, że wczoraj jeszcze nie sądziłem, ażeby panna Ma-

rya była widzialną. W istorie los tej nieszczęśliwej zawsze mnie obchodził.

Laura uśmiechnęła się szydersko, baron nie zważał na to.

— Dzisiaj z rana wpadł do mnie Volanti. Ma foi, ciągnął dalej: z taką miną, że mnie posądził, że albo zbankrutował, lub przychodzi mnie prosić o pożyczkę grubą...

Nie miał więc miny szczęśliwego człowieka? wtrąciła Lacerti.

— Wcale nie. mówił baron. był zmęczony, przełękły. Zażądał ode mnie uroczyście dowodu przyjaźni. Byłem pewien, że pieniędzy zażąda. gdy słabym głosem oświadczył mi, że prosi jako świadka do ślubu... Domysliłem się reszty. Naturalnie odmówić nie mogłem i nie chciałem. ale zażądałem nawzajem. abym się mógł widzieć z panną Burcelli i złożyć jej moje nszanowanie. Volanti zgodził się na to, oznaczył mi nawet godzinę. Stawilem się, z niemało podrażnioną ciekawością. W saloniku nie znalazłem nikogo, po chwili wyszła w czarnej sukni. blada, wychudzona. ale dziwnie idealnie piękna...

Mała Rosina przysłuchująca opowiadaniu. parsknęła ze śmiechu. Nikt na to nie uważał.

— W milczeniu podała mi rękę drżącą... mówił dalej francuz.

Począłem od powinszowania jej. Spojrzała na mnie oczyma zdumionemi, nie mogąc przemówić słowa.

-- „Spodziewam się. rzekłem do niej, iż pani krok ten czynisz z dobrą i nieprzymuszoną wolą? że

nie ma w tem przemocy żadnej, od którejbym ja pierwszy gotów był oswobodzić...”

Żywo przerwała mi:

— „Tak jest... tak jest... Sama tego chciałam. Wychodzę dobrowolnie, proszę być pewnym...”

Głos jej drżał, oczy zachodziły łzami. Wielki żal uczułem w sercu.

— „Nie wątpisz pani, dodałem, że jej życzę szczęścia... dla tego...”

Nie dała mi mówić.

— „Szczęścia trudno szukać na ziemi, rzekła smutnie. Ma się je na zaraniu w dzieciństwie, potem przychodzi walka, obowiązki, ofiary.. i szczęściem już spokój sumienia, a imię czyste...”

Łkanie miała w głosie, gdy to mówiła, pożegnała prędko i wyszła.

Stawiłem się potem jako świadek wprost do kościoła, do zakrystyi. mówił Percival, gdzie znalazł oprócz Volantego, jakiegoś jeszcze opiekuna ze wsi, dawnego majora. figurę bardzo sztywną, pocieszną, z uroczyście wyszwarcowanemi wąsami. Pisaliśmy się tedy z nim razem za świadków.

— No — a po ślubie? jakto! nie proszono nawet na wiecherzę? przerwała Lacerti.

— Ślub, kończył baron, pomijając bez odpowiedzi pytanie, ślub odbył się przy drzwiach zamkniętych. Volanti’ego odpowiedź tak była stłumionym głosem wypowiedziana. Żem ją zaledwie usłyszał, pan-na odezwała się głośno i wyraźnie.

Wyszliśmy wszyscy przez zakrystyę, gdzie powozy czekały. Państwo Volantowie wyjechali na parę dni... na wies.

Dyrektor zapewnił mnie, że w przyszłym tygodniu żona jego wystąpi już w operze Verdiego.

Oczy panny Laury zabłysły zazdrością.

— Panowie! odezwala się żartobliwie, zlitujcież się nad nieszczęśliwą Lacerti! Nie żądam dyrektora. Znajdźcie mi choć reżyssera. choć pięknego i pełnego nadziei maszynistę, któryby się ze mną ożenił!

Załamala ręce.

Perciwal bez pożegnania wyszedł był właśnie. Laura zbliżyła się do stolika biorąc z niego nalaany kieliszek szampana, podniosła go w górę i z sarkazmem w głosie przerażającym krzyknęła:

— Zdrowie nowożeńców!!

Wychyliła do dna, pałuszki jej rozbiegły się w powietrzu, a kieliszek padł na ziemię i rozbił się na kawałki.

Oi, którzy mieli wstęp do salonu państwa Volantich, był to bowiem salon w całym znaczeniu tego wyrazu, i dyrektor do uczynienia go świetnym i odwiedzanym przez wyborowe towarzystwo, największą do niego przywiązywał wagę; — nie mogli sobie zdać sprawy ze stosunku dwojga małżonków do siebie.

Pani Volanti, która, pomimo zamążpojęcia, z woli męża na afiszach zatrzymała imię Burcelli, sławiona teraz jako pierwszorzędną śpiewaczka, na co ze

wszech miar zasługiwała. zdawała się na oko być tu królową jego panią. Mąż, jako najposłuszniejszy jej sługa, prawie pokornie spełniał wszystkie jej rozkazy. Pospolici ludzie twierdzili, że pani Marya miała przewagę zupełną nad mężem, że panowała nad nim, że była wszechmogącą. Lecz, ile razy o tem mówiono, a mówiono bardzo często, baron Percival. gość nieominiony tego salonu, uśmiechał się dziwnie. Nie zaprzeczał temu głośno, potwierdzać nawet był gotów, lecz śmiał się, a wyraz jego twarzy był tak dziwny, że się z niego domyślać mógł co kto chciał.

— Co się to z tego dziewczęcia zrobiło!! szeptała Zosiczowa, która sobie przypominała ją w pierwszych dniach po przybyciu do stolicy.

Wszyscy przyznawali, że w nadzwyczajny sposób wypiękniała. Z twarzyczki trochę pomiętej, w której tylko dużo życia igrało wyrobiła się fizyognomia rysów regularnych, prawdziwie czarująca, smutkiem i powagą, jakie na niej były rozlane.

W salonie ten ton jakiś melancholiczny, surowy, zimny, nie zmieniał się nigdy. Zdawała się zlodowociałą, znieczuloną. Lecz na scenie widzieć ją było potrzeba.

Tu, pomijając głos, który urosnął do potęgi nadzwyczajnej czarodziejskim sposobem, twarz jej, postawa, wyraz, zmieniał się aż do złudzenia, do niepoznania.

Znawcy powiadali, że zdawała się nie myśleć nad niemi, nie studyować ich, a w chwili gdy występowała. jakby demon sztuki nią owładrywał i czynił z niej istotę nową.

Było w tem istotnie coś czarodziejskiego, bo za-
ledwie śpiewać przestała wracała do tej smutnej prozy
życia, do tej żałoby. której z czoła i piersi zdaje się
zrzucić nie mogła.

Na scenie Volanti, który gdzieindziej ciągle nad
nią czuwał i aż nadto się nią opiekował. tak. że tro-
skliwość ta stawiała się niemal śmieszną. nie śmiał jej
powiedzieć nic, nie mieszał się do niczego. i zdaje się,
że na tem dobrze wychodził. Tu ona kierowała de-
spotycznie wszystkiem. orkiestrą, artystami, garde-
robą i przyznawano jej nie umiejętność, bo tej nabyć
czasu nie miała, ale instynkt wrodzony, szczęśliwy,
nieochybny, nadzwyczajny.

Powodzenie śpiewaczki i artystki od wznowio-
nych jej występów. które tłumy ściągnęły. rosło
i uczyniło ją ulubienicą publiki. Miała fanatycznych
wielbicieli, a ci, coby byli chcieli wystąpić z opozy-
cją nie śmieli. Popularność była zbyt wielką, i po-
wiedziawszy prawdę, zasłużoną.

Jedno co było można jej grze i śpiewowi zarzu-
cić, to, że nie były klasyczne, nie zamykały się w cia-
snych szrankach tradycyi i szkoły. Było w nich coś
ekscentrycznego, śmiałego, dziwnego czasem, lecz
zawsze porywającego.

Z artystami, z którymi występować musiała.
Marynka umiała się po bratersku, uprzejmie i serca
jednującym sposobem obchodzić. Kochano ją, tylko
Lacerti, która w duszy nienawidziła rywalkę, aby po-
kryć to uczucie, przesadzała nadzwyczajne dla niej
uwielbienie. Volanti nie mógł wzbronić żonie stosun-
ków z panną Laurą, a był aż nadto pewien, że one
na nią wpływu żadnego nie wywrą. Laura więc by-

wała gościem w salonie, odwiedzała z rana Marynkę, starała się przypochlebić przynoszonymi plotkami. Były z sobą dobrze, ale dyrektorka umiała nie dopuścić jej do poufałości, nie obrazić dumą, a trzymać się trochę z daleka.

Gniewało to Lacerti, lecz musiała znosić, oczekując, ażby się pora wywarcia zemsty nastąpiła.

Ze wszystkich stron oczy były zwrócone na nowe małżeństwo. Komentarzy nad niem nie brakło najróżniejszych, lecz właściwie nikt nie wiedział nic o życiu państwa Volantich.

Od pierwszych dni nie dostrzeżono żadnej czułości, żadnego serdecznego, jawnego stosunku pomiędzy małżeństwem, i później stan ten się nie zmienił. Volanti był nadskakująco grzeczny, odgadujący życzenia żony, ale w obejściu się ich coś ceremonialnego, zimnego było widocznem.

Rozmów ich między sobą nikt nie mógł podsłuchać, bo te się odbywały na uboczu i nigdy dłużej nie trwały.

Szczęścia, spokoju, tego błęgiego uczucia, jakie choć chwilowo opromienia pary nowo pobrane, nikt na twarzy Marynki, ani męża jej nie dostrzegł.

Volanti nawet od czasu ożenienia się widocznie posmutniał, stał się ponurym i drażliwszym.

Ona zajęta była głównie swem powołaniem, sztuką, występami, które zdawały się zajmować ją żywo i stanowić główny cel życia.

Po jakimś czasie też, ta jej gorliwość zdała się przechodzić na męża, który też gorączkowo powołaniem teatru zajmować się zaczął.

Można było go posądzić, że zwątpiwszy o domowym szczęściu, szukał go w zbieraniu grosza i zapewnieniu sobie niezależności.

Po śmierci księżny. po katastrofie, która go pozbawiła pomocy, jaką mu ona dawała, interesa Volantego były w bardzo złym stanie. Wiedziano, że miał znaczne długi...

Występy nadzwyczajszczęśliwe Marynki wkrótce jednak tak poprawiły sprawy dyrektora, że z końcem sezonu mógł być o nie całkiem spokojny...

Niewątpliwie był to winien żonie, jej pracowitości, jej postępom, pomysłom i powodzeniu, jakie miała u ogółu. którego była ulubienicą.

Gdyby nie było widocznem, że ona sama chciała i potrzebowała być tak czynną, możnaby Volantego było posądzić, że ją bezlitośnie wyzyskiwał. Nie miał bowiem względu ani na stan zdrowia jej. ani na siły, ani na często bardzo jawne znużenie. Marynka kilka razy po ciężkich rolach, które następowały po sobie zbyt szybko, mdlała, jak podszeptowano, za sceną... Lecz ile razy tak osłabła, zrywała się z nowem życiem, z udaną wesołością, zaręczając, że się miała jak najlepiej, i że nigdy nie czuła się silniejszą...

W całym jej i męża postępowaniu, tyle było niedocieczonych zagadek. sprzeczności, że w końcu ludzie zrozpaczywszy o tem, aby je rozwikłać i zrozumieć mogli, obojętniejszem okiem patrzali na tę spółkę.

Dwie tylko osoby z gorączkową ciekawością śledziły każdy ruch, słowo, każdą oznakę dobitniejszą usposobień wzajemnych dyrektora i jego żony: panna Laura i baron Percival.

Francuz nigdy może nie był w lepszym, weselszym nastroju ducha, jak od czasu pobrania się państwa Volantich.

Nigdy też częstszym nigdzie nie bywał gościem, niż teraz u nich. Mówiliśmy, jaki był jego dawniej stosunek z Marynką. Uważała go za przyjaciela. za człowieka życzliwego sobie, lubiła go, bo umiał być miłym, miała w nim na koniec zaufanie... Baron grał komedję, ale tak doskonale, że ją najzupełniej oszukiwał. Nie posądzała go o nic, była mu wdzięczną za życzliwość.

Volanti, rzecz szczególna. w początkach po pobraniu się, miał jakby napady zazdrości, krzywił się, gdy przychodził baron. śledził jego zbliżenie się do żony, podsłuchiwał rozmowy; potem ustało to nagle i nastąpiła najdziwaczniejsza obojętność, ledwieby niemożna powiedzieć sprzyjanie stosunkom poufałym żony z baronem.

Nie wpłynęło to na Marykę, która z tego nie skorzystała i nie zbliżyła się bardziej, ani dała zbliżyć się baronowi. pozostała jak była, lecz Percival wyszedł na znanego całemu światu przyjaciela domu...

Mówiono o tem z przekąsem i domyślano się jakichś układów dobrowolnych, które tę trójkę z sobą wiązały... Marynka zdaje się, że się tego nie domyślała, nie rozumiała lub lekceważyła.

Nie było dnia prawie, ażeby baron nie przyszedł z rana, nie pokazał się w salonie wieczorem. Czasem, gdy gospodarza nie było w domu, dawał sobie tony, jakby go miał prawo zastępować.

Jakie ztąd wyciągano wnioski, domyślając się łatwo. Marynka zajęta czem innem, pogrążona w so-

bie. szukająca rozrywki w sztuce, zdawała się wcale o tem nie wiedzieć, lub nie dbać o to...

Pół roku przeszło upłynęło już od zawarcia małżeństwa, następowały miesiące spoczynku; jednego ranka baron, który się miał wybierać do wód i wahał się jeszcze z podróżą, wszedł do gabinetu dyrektora.

Volanti siedział nad stosami papierów i rachunków; zasepiony, zły, chmurny, a na twarzy w ciągu tych kilku miesięcy postarzały okrutnie. Jako młody małżonek. można było sądzić, że o nadanie sobie pewnej powierzchowności odmłodzonej, powinien się był starać. Przeciwnie, jawnem było, że od ożenienia się opuścił... włos mu siwiał, płeć zółkła, zęby stracił, nie dbał o to...

Zgarbiony, z oczyna przymróżonemi, z ołówkiem czerwonym w drżącej ręce znalazł go baron u stolika.

Dyrektor wskazał mu ręką miejsce na kanapce, dokończył jakiegoś cyfr przeglądu, i rzuciwszy papiery, zwrócił się ku niemu.

Baron ścigał go oczyma.

— Siedzisz widzę w rachunkach, odezwał się. No. spodziewam się, że ty w tym roku, dzięki Divie, nie masz powodu narzekać na nic. Stanąłeś świetnie...

Volanti się tryumfująco uśmiechnął.

— Nie przeczę, rzekł, dokazaliśmy cudów, ale to dopiero początek!

Żywo począł się przechadzać po pokoju, włożywszy ręce w kieszenie.

— Waszej Divie i wam czas nareszcie spocząć trochę, odezwał się baron łagodnie i jakby od niech-

cenia. Ty, jak ty, ale żona śmiertelnie musi być żoną.

Usłyszawszy to Volanti, podniósł głowę. ściągnął brwi i mocno się wpatrzył w francuza.

— Panie baronie! zawołał: po dawnej przyjaźni! Mówicie to z siebie, czy...?

— A z czegoż i z kogożbym to mógł mówić? podchwycił szydersko baron. Nietylko ja. cały świat widzi i mówi, że zamęczasz żonę.

Volanti się zżymnął.

— Powiedz, że się sama zamęcza, przerwał.

— Przecież nie jesteście tak pod pantoflem. aby to od was nie zależało, rzekł baron.

Volanti się uśmiechnął, wejrzenia się ich spotkały.

— Takie wyzyskiwanie nielitościwe talentu, dodał baron, idzie na karb wasz.

Dyrektor poruszył ramionami i przeszedł się po pokoju kilka razy, jakby się namyslał czy się ma otwarcie rozmówić z przyjacielem domu.

Wrócił do barona. przysunął sobie krzesło i usiadł. Na twarzy jego jakieś uczucia nieczytelne plątały się, nadając jej wyraz zniecierpliwienia i prawie gniewu.

— Zagadnęliście mnie w ten sposób. panie barouie, odezwał się z jakimś wysiłkiem, wybuchając prawie mimowoli. choć się widocznie wstrzymywał i walczył z sobą: zagadnęliście mnie w ten sposób, że się muszę wam zwierzyć.

Oswiadczywszy tę chęć zwierzenia się, Volanti jakby się inaczej namyslił, zamilkł. wstał nagle z krzesła i począł chodzić. Był okrutnie podrażniony.

— Napij się wody. wtrącił złośliwie baron.

Volanti w istocie rady tej posłuchał, poszedł sobie nalać szklankę, korek wypadł mu z ręki która drżała. Wychylił i skrzywił się.

— Wiesz, baronie, rzekł. w jakich się warunkach ożeniłem! Zdawało mi się, że na trochę wdzięczności zasłużę u żony... Spodziewałem się, że się do mnie przywiąże, ale to posąg, który się tylko ożywia na scenie. Do rozpaczyny mnie przyprowadziła. Sądziłem, że czas sprowadzi zmianę... pół roku upływa, jesteśmy z sobą jakbyśmy byli pierwszego dnia, jeżeli nie gorzej... Tak!

Baron słuchając zagryzał usta.

— Mogłem oszaleć dla tej kobiety... tak... mówił Volanti. W końcu złość tylko i gniew pobudziła we mnie. Przyznam ci się baronie, że w takim położeniu, byłbym głupi, gdybym zapomniał, że ten posąg przynajmniej złoto mi dać może. Nie żądam już od niego więcej nic, ale tego żądać muszę... Nie chce mnie, mniejsza o to... Za stary jestem, abym sobie w leb palnął, jak ten osieł Corsini... muszę ją wyzy-skiwać...

Baron syknął.

— No, tak... potwierdził Volanti,—i wcale nie mam tego na sumieniu, bo ona sama, zapewne równie jak ja nieszczęśliwa, w sztuce i oklaskach szuka zapomnienia swojego losu.

Rozśmiał się serdecznie Volanti, i wyciągając ręce obie ku baronowi, mówi dalej poruszony:

— Swojego losu! swojego nieszczęśliwego losu! Cha! cha! Tak się zowie! Tymczasem może się ta kobieta uskarżać? Wziąłem ją z nędznego dworku,

w zgrzebnej koszuli, uczyniłem sławną, dałem wycho-
wanie... uratowanie... uratowałem od dwóznacznej
sytuacji... Pomimo to, spojrzij na nią! Męczennica!
Nie jestże to warte śmiechu?...

Skrzywił się Percival.

— Przepraszam cię, zawołał. to wcale nie jest
śmiesznem! Masz do niej żal, i dla tego jesteś nie-
sprawiedliwym, lecz postaw się w jej miejscu...
Oprócz sławy, która nie karmi i serca nie nasycza. co
ona zyskała w tem wszystkim? Sukienkę jedwabną,
palącą jak odzież Nessusa, gdy jej w perkalikowej na
wsi daleko było lepiej i wygodnej.

Volanti począł się przechadzać znowu.

— Wszystko to mi teraz obojętnem jest, rzekł.
Powiem ci otwarcie, chcę się wzbogacić, nie idzie mi
o nic więcej. Zresztą...

Ręką zamachnął w powietrzu.

— Ale ją to bawi, dodał poprawując się. Ona
sama chce być czynną i wzdragała się odpoczywać.
Nie zmuszam jej, słowo daję...

A po małym przestanku dorzucił:

— Zamiast do wód, lub na wieś, zaproponowała
mi przedstawienia w główniejszych miastach na-
szych... Pojedziemy do Moskwy, do Rygi, może za
granicę...

Percival się obruszył mocno.

— Ale ty ją dobijesz! zawołał.

— Nie, ona sama chyba, przerwał Volanti.
Chcesz się o tem przekonać? Proszę... pomów z nią
sam na sam, zobaczysz...

— Na twojem miejscu, wtrącił Perciwal, wcho-
dząc nawet w tę chciwość dla mnie niezrozumiałą

i obrzydliwą, przepraszam za to wyrażenie, rozum ci nakazuje ją oszczędzać... Przecież to złotodajne ptaszę, powinienesz czuwać nad niem, dla złota już, jeśli nie dla niego.

— W tem co baron mówisz, rzekł, ogromnie wiele jest przesady. Ja znam lepiej warunki naszego bytu niż wy... Śpiewak i śpiewaczka, czy się oszczędzają czy nie. mają tylko pewną liczbę lat świetnych... Przedłużyć trwania tej epoki prawie niepodobna. Ciągła wprawa, nałóg śpiewania wzmacnia, nie wyczerpuje, ale daje siły. Rok wypoczynku więcej szkodzi niż trzy pracy najbardziej gorączkowej.

Baron począł tupać nogami z gniewu...

— Sofizmata! krzyknął: co to za niedorzeczne gadanie!

Volanti zamilkł; zżymnął ramionami i żywo zaczął się przechadzać po pokoju.

Czas jakiś nie mówili z sobą.

Baron zapalał cygaro i mruczał oburzony. Volanti poświstywał Percival jednak pomimo wzruszenia, które było widoczne, nie okazywał zbyt wielkiego z rozmowy i jej wypadku niezadowolenia.

Z oczu mu patrzyło, jakby się niemal cieszył z tego, czego się dowiedział.

Trudno powiedzieć, na czymby się skończyła ta drażliwa pogadanka. której na nowo żaden z nich nie chciał rozpoczynać, gdyby w tejże chwili nie wszedł kasyer teatralny, powołany do sprawdzenia jakiegoś rachunku.

Baron zobaczywszy go, rad może, iż miał dobry pozór do pożegnania się z dyrektorem, podał mu końce palców i wyszedł.

Nie zamknął jeszcze drzwi za sobą, gdy już krzykliwa rozmowa dyrektora z kasyerem, przekonała go, że Volanti niebardzo wziął do serca to, co Percival'a mocno poruszyło. Nie wstrzymał się więc od wejścia na pierwsze piętro i kazał się zameldować pani dyrektorowej.

W salonie, godzina była dosyć ranna, nikt jeszcze ze zwykłych gości się nie znajdował.

Baron nie był nawet pewien, czy go przyjmie pani, gdy drzwi się otworzyły, i Marynka powolnym krokiem wsunęła się do salonu, z partyturą jakiejś opery w rękę.

Pomimo nadzwyczajnego wysiłku i niedającej odetchnąć pracy ciągłej, mimo cierpień, których Percival mógł się domyślać wprzód, a dziś je miał potwierdzone przez Volantego, pani dyrektorowa była w całym blasku piękności oryginalnej, jakiejś niezwykajniej. której urok był w niezmiernem ożywieniu jakąś iskrą wewnętrzną, jakimś duchem przepotężnym.. Lecz był to posąg z innego świata. w którym serce do tego, co go otaczało, nie biło.

Wychodziła ze swego pokoju jeszcze ozłocona blaskiem jakiejś muzykalnej roli, powoli już ostygając, chłodnąc i przeistaczając się na biedne stworzenie, przykute do taczki życia powszedniego.

— Jak to? już z partyturą? zawolał Percival: ale pani się zabijasz tem!

— Ja? ja tem żyję, rozśmiała się pani Volanti.

— Gorączkowo... chorobliwie... zamruczał Percival.

Siedli, ona na kanapie, on na fotelu.

— Właśnie o to się z mężem pani posprzeczałem, rzekł baron. Potrzebujesz pani odpoczynku!

Marynka ruszyła ramionami, spuściła oczy i słuchała nie odpowiadając zrezygnowana.

— Mąż pani dowodził mi, że pani sama tak jesteś niełitościwą dla siebie; jam mu wymawiał, że swej władzy nie położę na szali, aby zmusić panią rozzerwać się i odpocząć...

Percival chciał widocznie wywołać odpowiedź jakąś; zdawało mu się może, iż Marynka, jak mąż, zwierzy mu się i poskarży. W tem pani dyrektorowa położywszy partyturę na stoliku, zapatrzyła się w okno, wyczekała aż dokończy, dała mu spocząć i po chwilce spotykała go:

— Czy pan nie znajdujesz, panie baronie, że Laura Lacerti powinna się z większym smakiem ubierać?... Ode mnie ona nie przyjmie tych uwag, pan ją znasz dawno. Stoi się kosztownie, ale niezawsze jej z tem do twarzy i do roli.

Percival zdziwiony w ten sposób odwróconą rozmową, pomilczał trochę, lecz był nadto zręcznym i pewnym siebie, aby się dać tak odprawić.

Uśmiechnął się.

— Pani ze mną mówić nie chcesz o tem, co mnie najżywiej obchodzi... Zdaje mi się, żem zasłużył na to, aby w przyjaźń moją wierzone.

Marynka spojrzała na niego.

— Ja i wierzę, i dziękuję za nią serdecznie, odezwała się. Ale, panie baronie, aby człowieka osądzić, aby nim kierować, na to potrzeba...

Tu się zamysliła trochę.

— Potrzeba go zrozumieć i odgadnąć...

— Pani sądzi, że ja nie rozumiem jej i nie odgaduję?

Naiwnym, smutnym uśmiechem odpowiedziała mu Marynka i z lekka poruszyła ramionami.

— Nie mówmy o tem... wyszeptała: nie dojdziemy do końca.

Baron nie bardzo się rozmyśliwszy, wtrącił żywo:

— Doprawdy, Volanti jest dla mnie grzeczniejszym od pani. Z nim mówiliśmy zupełnie à coeur ouvert...

Zarumieniła się pani Volanti i potrząsnęła głową.

— Tak jest, dobitnie powtórzył Percival, zupełnie otwarcie.

— A zatem pan baron wiedzieć musisz. poczęła nie podnosząc oczu pani Volanti: że ja, biedna. obowiązana się czując wywdzięczyć i wypłacić mojemu mężowi. muszę mu choć pracą moją okazać, że...

Francuz przerwał nagle i ostro.

— Że co? że pani to rozumiesz, iż on się z nią ożenił na to, aby ją wyzyskiwać!!!

Twarz Marynki cała się krwią oblała.

— Panie baronie!... przerwała.

— Wiem, że jestem niedyskretnym i gburem w tej chwili. za co panią przepraszam, dodał baron, — lecz oburzony jestem, oburzony.

Wstał z fotelu i jakby dla przejednania sięgnął po rękę Marynki, która mu ją z nieśmiałością podała i natychmiast cofnęła.

— Znamy się nie od dzisiaj. począł Percival. unosząc się przeciw zwyczajowi swojemu. Pani wiesz,

bo każda kobieta wie o tem jakie obudza uczucie, mogę otwarcie powiedzieć, że zakochany w niej.

Marynka skarciła go surowem wejrzeniem.

— Przyznasz i to pani, że się jej z tą miłością nie naprzykrzał, ciągnął baron dalej. Dziś ona mnie tłumaczy, dla czego się przeciw despotyzmowi i takiemu wyzyskiwaniu oburzam.

— Co pan mówisz! co pan mówisz! paule baronie! spokojnie i łagodnie poczęła dyrektorowa. Pan przecież rozumiesz to, że oświadczenie się z miłością kobiecie zamężnej jest dla niej obelgą.

Baron się zatrząsł cały.

— Milczałem przecież, zawołał, lecz jest kres wszystkiemu! Litość mi z ust to wyznanie wyrwała. Nie jest ono dla niej uwłaczającym.

Po chwili namysłu, z wielkim spokojem, smutnie, spuściwszy oczy na dół, Marynka mówić zaczęła:

— Jako dobrzy przyjaciele więc rozmówmy się otwarcie...

Tu oczy podniosła na francuza, z takim wyrazem cichej rezygnacyi i chłodu, że Percival oniemiał.

— Pan wiesz czem było małżeństwo nasze, rzekła. Ja potrzebowałam rehabilitacyi w oczach świata, choć we własnych byłam niewinną; on, ofiarował mi rękę i imię. Wiedział to dobrze z ust moich, że go kochać nie mogę i nie będę... Czems przecież wypłacić mu się potrzeba? Jestem nadto dumną, abym ofiarę przyjęła, nie usiłując się we własnych oczach z niej usprawiedliwić. Powtóre, czems żyć potrzebuję, nie mam nic oprócz sztuki.

— I upijesz się nim pani, jak chłop wódką! — krzyknął Percival... i zapijasz tym trunkiem.

— Byćby to mogło, uśmiechając się rzekła Marynka; lecz nie godziż mi się tego przebaczyć?

Zniecierpliwiony baron wstał z krzesła, oczy mu się zaiskrzyły, wargi zacięły.

Współczucie, jakie jej okazywał, poruszyło trochę biedną kobietę.

— Siadaj pan, odezwała się, nie gderz i zmieniajmy rozmowę.

Percival nie miał czasu jeszcze odpowiedzieć na to wezwanie. gdy Volanti wszedł zarumieniony cały po rozprawie z kasyerem.

Spojrzenie na żonę i Percivala dało mu się łatwo domysleć, że baron i tu zagaił drażliwy przedmiot.

— Dobrze, żem zastał barona, rzekł: proszę mnie oczyścić z zarzutu.—Zwrócił się do żony: Percival utrzymuje, że ja barbarzyńsko wyzyskuję głos mojej pani... Jestem tak despotyczny?...

— Baron poświadczy, żem właśnie was uniewinniła, rzekła pani Volanti.

— Zbyt się ludzie opiekują nami.—dodał dyrektor.

— Proszę mi nie czynić tego wyrzutu, przerwał Percival; ale nienastanie słyszę mówiących o tem... nie ma jednego z wielbicieli naszej divy, któryby się nie trwożył. Musiałem państwu powtórzyć.

Marynka ruszyła się z kanapy. wzięła partyturę ze stolika. głową skinęła żegnając barona, i wyszła.

Volanti jak gdyby o tem, co tylko co było przedmiotem rozprawy, zapomniał, zbliżył się do barona i rzekł do niego z wielkiem przejęciem:

— Mam deficyt znaczny w kasie, muszę odprawić tego człowieka. Kilka tysięcy przepadło.

Percivala tak to mało obeszło, iż nie odpowiadając nawet, skłonił się milczący i wyszedł.

Zemsta małych ludzi bywa często okrutną. Im niżej stoi ten, który się czuje dotkniętym i pragnie odwetu, im wyżej nad nim jest nieprzyjaciół, tem za-
jadlejsze staje się prześladowanie.

Przypomną sobie czytelnicy, że tego wieczoru, gdy baron do salonu Lacerti przyniósł wiadomość o ślubie dyrektora z panną Maryą, siedzący w kącie stary francuz, zdegradowany dla braku głosu do chó-rów, odezwał się, iż wiedział o żonie Volantego, i przebaknął, że ślub separowanego nie był ważny.

Przeszło to niepostrzeżone prawie, bo nikt wagi nie przywiązywał do prostej pogłoski.

Lacerti tylko to dobrze zapamiętała. Powodze-nie współzawodniczki, chłód, który ją od niej zrażał i drażnił, pragnieniu zemsty nie dawały usnąć.

Piękna Laura, nie mogąc inaczej dokuczyć nie-przyjaciółce, wpadła na myśl zbliżenia się do starego chórzysty. Jednego dnia zaprosiła go do siebie, gdy oprócz niej i matki nikogo nie było.

Zręcznie bardzo naciągnęła rozmowę na tę pierw-szą żonę Volantego.

— Pewna jestem. rzekła, że ta biedna kobieta mrze tam z głodu, gdy ten tu we wszystko opływa i samowolnie się sobie żeni. Doprawdy godziłoby się, aby jaka miłosierna dusza dała jej znać co się tu dzieje. Niechby skorzystała.

Lacerti zaczęła się śmiać. Stary francuz rozweselony kilku wina kieliszkami. odparł żywo:

— Nic łatwiejszego! Wprawdzie ja nie wiem gdzie się stara Volanti znajduje, ale mam dużo znajomych i kolegów w Paryżu... Napiszę.

— Napisz! głową znak dając mu Laura, szepnęła: Napisz, niech się ten niegodziwiec choć zakłopotuje, a biedne kobiecisko skorzysta.

— O! biedne kobiecisko! rozśmiał się Chórzysta. Wcale ona nie była biedną! Umiała sobie radę dawać i ludzi odzierać. Dla tego się rozeszli, bo strasznie dokazywała, a była bardzo piękna. Dziś pewnie dawno przekwitła; w samą poręby jej się przydały alimenty.

— A Volantiby posiwił do reszty! wołała Laura. No, i ta madame Nitouche. możeby zrozumiała, że żoną nie jest... tylko przyjaciółką, i nie takby na nas z góry dumnie patrzyła.

Lacerti ścisnęła za rękę francuza.

— Daj mi słowo, że napiszesz?

— Najchętniej! dla czegobym nie miał tego uczynić? I owszem. mnie też smakować będzie, gdy go zobaczę w tarapatach...

Laura po tej pierwszej zaczepce, ile razy się za kulisami spotkała z francuzem, na ucho mu przypominała jego obietnicę.. Chórzysta przysięgał się, że pisał... Czekano odpowiedzi...

Przyjaciół doniósł w kilka tygodni, iż wynalazł panią Izaurę Volant, urodzoną Pistolet, która schodząc ze szczebla na szczebel coraz niżej, pomagała w gospodarstwie miejskiem p. Pipelet'owi odźwierne-
mu kamienicy przy ulicy Clichy. Wiadomość przyjęta była jako bardzo pożądana, pani Volant gotową była wybrać się do stolicy, lecz koszta podróży ją wstrzymywały.

Jakim sposobem trudność usunięto, kto dostarczył pani Izaurze pieniędzy na wycieczkę tak daleką, kto ją zapewnił, że ona nie będzie bezowocową, pozostało tajemnicą.

Lecz dnia jednego panna Lacerti była przyjemnie zdziwioną, gdy chórzysta z rana oznajmił się jej wraz z panią Izaurą Volanti. Z obawy, aby gościa tego nie widziano u niej i intryga nie była wydana, a ona skompromitowaną, panna Laura do pokoju swej matki kazała prosić gości.

Ze stanu salonu panny Lacerti, o którym wspomnieliśmy, można sobie wyobrazić czem był pokój matki naszej artystki. Zbiegały się tu wszystkie całego domu nieporządki i niechlujstwa, zapasy kuchenne; sprzęty kredensowe, suknie, które przerabiano, bielizna na prędcę prana, jarzyny z dnia na dzień przechowywane, teatralne akcesorya, słowem było to kafarnaum, do którego nikogo oprócz sług nie wpuszczano.

Matka też chciała protestować przeciwko przypuszczeniu obcych do tego przybytku, w którym ona była panią; ale pannie Laurze szło o siebie, o własne bezpieczeństwo. Narzucono więc bielizną to co zbyt razić mogło, pousuwano co zawadzało, i panna Laura

wyszła naprzeciwko przybyłej z nadzwyczajną ciekawością.

Jeden rzut oka na przybywającą, zasapaną, tłu-
stą, do podżyłej kucharki podobną kobietą, która pot
z czoła nznajomego ocierała chustką niezbyt świeżą,
mógł pannie Lacerti dać wyobrażenie z kim miała do
czynienia.

Była to, co się jeszcze widzieć dawało. piękność
niegdyś znakomita, dziś roztyła, wyżyta, zestarzała,
a że oprócz pewnego wdzięku cielesnego nic nie miała,
gdy ten zniknął, zostało stworzenie najpospolitsze
w świecie. Z dawnego zawodu artystycznego, gdyż
pani Volanti występowała jakiś czas na scenie w ro-
lach wydekoltowanych i robiła furorę, pozostały jej
komedyanckie ruchy, miny i chody.

Ubiór paryżanki, choć niby staranny i usiłujący
być eleganckim, w istocie był śmiesznym i bez smaku.
Ubrała się na rano w co miała najlepszego i najnie-
stosowniejszego. Bronzowe pozłacane bransolety
i łańcuszki świeciły na rękach i szyi.

Panna Lacerti wprowadziła ją, palec kładąc na
ustach, do pokoju, i zaczęła zaledwie przywitawszy
od wykrzykniku:

— Zmiłuj się pani! nikomu nic o tem, że byłaś
u mnie! Byłabym zgubiona.

Pani Volant poczęła żywo uspakajać włoszkę...

— Radź mi pani moja, co ja tu w obcym mieście
mam począć? do kogo się udać? Ja znam tego niego-
dziwego człowieka, on litości mieć nie będzie, gdy się
dowie...

Laura chciała tę naradę jak najprędzej ukoń-
czyć.

— Słuchaj pani! rzekła pośpiesznie. Masz dwie drogi: albo wprost udać się do p. Volantego i z nim się układać, albo zaskarżyć go u jego zwierzchników.

Chórzysta się wtrącił:

— A gdyby pani Volanti na uboczu się gdzieś bezpiecznie umieściwszy, spróbowała napisać do niego? Nie byłoby to bezpiecziej niż narażać się osobiscie?

— Jaby to wołała! przerwała kobieta trwożliwie; ja się widzieć z nim nie życzę...

— A jesliby żądanie pani nie zostało uwzględnione—dokończył chórzysta—naówczas może go zaskarżyć.

Lacerti podumała trochę.

— To się nie obejdzie bez rozgłosu, dodała; tylko obawą skandalu pani na nim wymódl coś potrafisz!

Maszże potrzebę go oszczędzać?

Pani Volant zadumana i jakby strwożona, patrzyła na swe nieświeże rękawiczki.

— Gdy się rzecz rozgłosi, a on nic mieć nie będzie do stracenia, to nic mi nie da przez zemstę.

Przysłuchująca się rozmowie stara matka Larry, z rozczochanemi włosami, straszliwie przypominająca cygankę, kiwała głową.

— Wprost do niego się ndać! zawołała: tylko nie samej! nie samej, trzeba wziąć kogoś z sobą.

Chórzysta, czując, że na niego spaść może obowiązek towarzyszenia pani Volant, cofnął się przelekle. Zdradzić dyrektora przez zemstę nie wahał się, ale wystąpić przeciwko niemu otwarcie, ani myślał.

Lacerti podumała trochę, gryząc palce i krzywiąc się.

— Nie rób pani dziś żadnego kroku, rzekła: czekaj, daj mi swój adres, ja się naradzę, zobaczymy... dam znać.

Zgodziła się na to francuzka i natychmiast z lekkomyślnością starego dziecka paryzkiego bruku, zaczęła bez porządku opowiadać o swej podróży. wrażeniach, jakie na niej uczynił kraj i miasto nowe. klimat i t. p.

Nie trzymało się to jedno drugiego. a świadczyło o wielkiej czczości głowy i niewykształceniu. Matka Laury najlepiej się z nią jakoś rozumiała i porozumiewała. Napojono francuzkę na prędcie zgotowaną w tym samym pokoju na koninie czekoladą, której szklankę dostał chórzysta, i z wielkimi ostrożnościami dorożką nazad odprawiono do hotelu.

Lacerti chodziła poruszona. uśmiechając się i marszcząc na przemiany, nie mówiąc nic matce, która ją odgadywała. Kazała sobie co rychlej podać ranny dosyć elegancki ubiorek i powóz sprowadzić. Widać było, że nadzwyczaj silnie przejęta czemś była i ważyła jeszcze co uczynić wypadało. Nie przyznała się matce do niczego, ale stara tak znała córkę i tak z nią jedną myślą żyła, że jej badać nie potrzebowała, ażeby odgadnąć.

Przed południem panna Laura już jechała w odwiedzin do pani dyrektorowej. W tej porze bywała ona u niej tylko, gdy jej o coś prosić potrzebowała.

Zwykle dosyć spokojna i wesola a drwiąca twardzyczka pięknej włoszki była teraz zasepioną i smutną... Niecierpliwie wyglądała oknem, rychło li stanie u celu. Wyskoczyła z powozu, głosem drżącym pytając już na dole czy jest w domu pani Volanti i czy nie ma kogo u siebie?

Odźwierny zapewnił ją, że pani dyrektorka nie wyjeżdżała jeszcze i nie przyjmowała nikogo.

Laura na bilecie ołówkiem nakreśliwszy: *Très pressé e*, — posłała go Marynce.

Nie potrzebowała długo czekać na przyjęcie, pani była w swoim pokoju i przegrywała nowe jakieś dzieło, o które szło czy ma być lub nie przedstawione na scenie, gdy Laura wpadła z gorejącymi policzkami i oczyma.

Marynka wstała na jej powitanie ze zwykłą swą powagą, która dziwnie odbijała majestatycznym spokojem od namiętnej fizyonomii i ruchów Lacerti.

— Szanowna pani: głosem przerywanym zadyszka poczęła włoszka: przedewszystkiem, proszę, każ drzwi swe zamknąć bez wyjątku dla wszystkich. Mam mówić o czemś nadzwyczaj ważnem. co was obchodzi... ale, proszę mi dać odetchnąć!...

To mówiąc, padła na krzesło i dłonią białą ucisnęła czoło...

Gospodyni zdziwiona, niespokojna trochę, nie tracąc jednak powagi, zadzwoniła, aby dać służącej rozkazy.

Lacerti tymczasem dobyła flakonik z torebką, odetknęła go i orzeźwiała się, wciągając wódkę kołońską.

Przygotowania te, przestrasz Laury, wejrzenia jej, ruchy gorączkowe, coraz bardziej zastanawiały Marynkę, która znając już włoszkę, pytała się tylko siebie w duchu, czy to co widziała było istotnem wzruszeniem, czy doskonałą komedią. Rozwiązać tę wątpliwość było bardzo trudno.

W następującej scenie potrzeba sobie pannę Laurę wystawiać ciągle z włoskimi ruchy, rzucaniem

się z namiętnością, patosem, od łez przechodzącą do tłumionych jęków. do tragicznego oburzenia. Marynkę zaś spokojną, potem zdrętwiałą z rozpacz i nadmiarem bólu osłupiałą.

Lacerti zaczęła od tego. że się zdawała upadać pod ciężarem przyniesionej wiesci: otwierały się jej usta i mówić nie mogła. Załamywała ręce. Mimika była doskonałą.

Marynka w kilku prostych słowach, starając się ją uspokoić, prosiła, aby mówiła śmiało z czem przychodzi.

— Droga pani moja, przychodzę z sercem ściśniętem. oburzona, nieszczęśliwa!... zawołała Laura. Al! nie przyszlabyś tu pewnie. gdyby nie szacunek i miłość dla was...

— Ale cóż to być może? nie pojmuję! przebaknęła dyrektorowa. napróżno usiłując odgadnąć, co na nią spaść miało.

— Chciałam was uprzedzić, mówiła dalej Lacerti: może się da zapobiedz rozgłosowi, może się na to znajdzie jaki ratunek.

— Cokolwiekbaż przynosisz. przerwała Marynka, mów pani!

Lacerti załamała znów ręce.

— Czy pan Volanti wspomniał pani kiedy, że był... że był dawniej żonatym? spytała Laura.

Marynka zbladła jak mur, mowę jej odjęło na chwilę, potrząsnęła głową i słabym głosem przebaknęła:

— Nigdy...

— Żona jego pierwsza. dodała wybuchając Lacerti, z którą nie ma rozwodu, bo francuzkie prawa go nie dopuszczają. przybyła tutaj. szuka go. Samo

jej nakazanie się da powód do poszukiwania. Ślub wzięty, mówią ludzie. nie jest ważny... Przybiegłam pani o tem oznajmić. Dowiedziałam się o tem przypadkiem.

Mówiła ciągle patrząc na Marynkę, która z wolna zsunęła się na bliską kanapkę, siadła i pozostała jak skamieniała z bólu.

Laura przyniosła jej swoją wódkę kolońską, obawiając się omdlenia, lecz Marynka z lekka rękę i flakon odepchnęła.

— Możeż to być! możeż być!... wyrwało się z ust nieszczęśliwej. To potwarz... to plotka jakaś... Ta kobieta nie mogła być jego żoną.

— Wszystkie papiery, dowody, metrykę ślubu, akt separacyi ma z sobą! zaczęła śpiesznie Łacerti. Możeby była milczała dłużej, jak milczała lat wiele, lecz zubożała nieszczęśliwa... nie dawał jej nic, znać jej nie chciał...

— Zkąd pani to wiesz? zapytała głosem drżącym Marynka.

— Wypadkiem, mówiła, czule się przysiadając do dyrektorowej Laura i pochylając nad nią. Francuzka miała adres jednego ze swych ziomków z teatru, dziś mi o tem oznajmiono.

Laura, spodziewała się rozpacz, łez, narzekań, tego widoku boleści, którego była łakomą. Oczekiwanie ją omyliło, znalazła dyrektorową przygnębiającą, ale walczącą z tym ciosem, który ją zadała, i z dumą jakąś wytrzymującą nieszczęście, które ją dotknęło.

Marynka nie mówiła nic, ściągnęła brwi, wlepiła oczy w podłogę. Ubolewanie, współczucie Laury, jej paplanina czuła, zdawały się już nie czynić najmniej-

szezo wrażenia. Nie chciała przed nią obnażyć swej boleści. Było w niej coś tych posągów greckich, na których cierpienie mistrzowie rzucali zasłonę.

Laura doznała zawodu.

Po chwili dyrektorowa białą rękę ku niej wyciągnęła i szepnęła:

— Dziękuję wam, bo wierzę, że uprzedzając mnie, chcieliście mi oszczędzić boleści... dziękuję wam! Zostaw mnie, proszę. samą, potrzebuję odzyskać siły, namyślić się.

Lacerti odprawiona tak, nie wstawiała, chciała koniecznie zostać powiernicą, zasłużyć się, dobyć coś z tej niemej rozpacz.

— Ale cóż pani poczniesz? spytała. Mogę jej być w czem użyteczną, poczęła cicho. Baron Percival jest dla niej z nadzwyczajnym szacunkiem i uwielbieniem. Każesz, abym mu znać dała?

Dyrektorowa poruszyła się z siedzenia i uchwyciła ją za rękę:

— Ani jemu, ani nikomu! proszę was. Pomocą nikt mi być nie może... Między nim a mną wszystko się rozwiązać powinno. Ludzie zaszkodziłoby raczej... Zapobiedz rozgłosowi.

I począwszy to, zatrzymała się:

— Za późno może!

Lacerti śledziła na jej twarzyczce ślady strasze-
liwej boleści, z którą walczyła.

— Nic więc mi pani nie masz do rozkazania? powtórzyła niby się zabierając do odejścia.

— Dziękuję, słabym głosem raz jeszcze odezwała się Marynka, i porzucając Laurę w salonie, weszła nazad do swojego pokoju.

Zawiedziona w nadziejach włoszka, myślała chwilę, wysunęła się z saloniku, obwinęła narzutką zbiegła ze wschodów i dała adres woźnicy.

Nie jechała do domu. Pomimo prośby i zakazu Marynki, nie mogła ścierpieć z milczeniem na ustach; rachuba pewna nakazywała jej donieść o tem baronowi i wmieszać go koniecznie w tę sprawę. Wiedziała, że jej za to wdzięczen będzie, liczyła, iż z tego skorzysta i zapłaci wężły tak, iż je rozcinać będzie potrzeba.

Lacerti nie wahała się we dwie odwiedzać barona w jego prywatnem mieszkaniu. Ile razy miała pilną potrzebę tak zwanej pożyczki, przybywała po nią do niego. I tym razem gdy mu oznajmiono pannę Laurę, baron był pewien, że swoim zwyczajem przyjeżdża do jego kassy nie do niego. Zamruczał coś i kazał wpuścić, choć był jeszcze w rannem ubraniu.

Lacerti wpadła jak piorun, zamknęła drzwi, porwała barona do okna, i nie dając mu się opamiętać, do ucha posypała wszystko co wiozła z sobą.

Percival stał zdumiony, lecz razem na czole i w oczach widać było radość prawie, którą Laura wyczytała łatwo.

— Poczwaral... zawołała śmiejąc się: cieszy się z cudzego nieszczęścia!

I poprawniając narzutki na głowie, bo tego dnia miała czarną koronkową hiszpańską mantyllę, dodała:

— Com warta, żem wam najpierwszemu tę wiadomość przywiozła? Baronie! zaciągam ją w wasz rachunek..

Nie miała czasu wdawać się w rozmowę, nie dała się badać więcej. Obejrzała się po saloniku, a że

na stolyczku stało niesprzątnięte śniadanie i niedopita butelka Bordeaux, chwyciła kieliszek, nalala sobie wina, pochłonięła je jednym łykiem i znikła.

Baron wolnym krokiem szedł za nią do drzwi tu stanął, zamyślił się, ruszył ramionami, zamruczał: — Fatalność! i zadzwonił na służącego.

— Ubieram się, rzekł do wchodzącego: każ podawać konie.

W kwadrans później baron w lekkim swym powoziku zajeżdżał przed kamienicę, w której mieszkał Volanti. Mierzył ją oczyma z dala, śledząc czy tam nie dojrzy jakiego ruchu lub zmiany. Odźwierny z cygarem stał w bramie i flegmatycznie przypatrywał się ulicznemu ruchowi.

Na zapytanie o dyrektora, odpowiedziano mu, że go w domu nie ma. Sama pani chora nie przyjmowała. Złożył więc dwa załamane bilety.

Chciał się dowiedzieć jeszcze, gdzie był Volanti. odźwierny o tem powiedzieć nie umiał. W istocie znajdował się w mieście, i tu mu przygotowującemu już wycieczkę. na prowincję, wręczono w teatrze list, przez posłańca tylko co przyniesiony.

Pan dyrektor odbierał ich tyle od rozmaitych suplikantów, że spojrzawszy na kopertę. pismem niezgrabnem zaadresowaną, zapieczętowaną niezręcznie, wsunął ją nie otwierając do kieszeni.

Jednakże pismo do tysiąca innych podobne. coś mu musiało przypomnieć, czemś go udręczyć. gdyż list dobył natychmiast, rozerwał kopertę, otworzył go, spojrzął na podpis, i — zbladłszy strasznie, zmieształ się tak, że stojący obok reżysser zapytał: czy mu się źle nie zrobiło.

— Nic nie jadłem, a słabo mi, rzekł Volanti głosem schrypłym. Masz co do napicia?

Podany na prędce kieliszek wódki dyrektor wychylił i ręką potarłszy po czole, zapytał:

— Gdzie jest posłaniec, który list oddał.

Pani Volanti, za poradą przyjaciół, żądała odpowiedzi poste restante,

Nie tracąc czasu. Volanti poszedł do izdebki reżysera na list odpisać. Szło mu o uniknięcie skandalu jakimkolwiekby kosztował. Gotów był do ofiary, lecz żądał, aby przybyła Izanra, natychmiast w oczach jego do Paryża się wybrała.

Napisawszy list ten, nieoględny, zdradzający trwogę, Volanti natychmiast wysłał go na pocztę, z nadzwyczajnym pośpiechem. Sam zaś tak stracił głowę, tak nie wiedział co ma począć z sobą, nade wszystko tak się obawiał wrócić do domu, że bezmyślnie rzucił się do dorożki. i kazał jechać bez celu, na przedmieścia...

Piorun, który na niego spadł, zgruchotał go, można było powiedzieć... Potrzebował rady czyjejs, a bał się zwierzyć komukolwiek, lękał się zdradzić samą swą powierzchownością.

Zwierciadelko wydobyte z kieszeni, ukazało mu twarz zmienioną, wyciągniętą, bladą, pożółkłą. Czuł w ustach gorycz żółci nieznosną, gorączka jakby we febrze go trzęsła. Głowa pękała z bólu.

Jazda szybka po bruku, zamiast mu pomódz, pogorszyła ten stan jego, lecz nie miał nic do wyboru, nie wiedział sam co zrobić z sobą.

Wśród tego cwałowania głównym prospektem, nagle posłyszał wołanie za sobą, dopędził go powóz, baron ręką dawał znaki woźnicy. aby stanął.

Musiano się zatrzymać.

Percival spojrzał na niego i nie potrzebował pytać go, wiedział, że Volanti już odebrał list od p. Izaury.

— Odpraw dorożkę, zawołał, siadaj ze mną. Jedźmy do mnie.

Dyrektor. który słowa jeszcze nie mógł wyjąknąć, nie sprzeciwiał się. Z twarzy Percival'a, jakkolwiek zawsze martwą pokrytej maską, przeczytał, że i on jest uwiadomiony o tem co go spotkało.

Zkąd? Jak?

Ogarnęła go trwoga! Wiedziało więc już całe miasto!

Gdy Volanti siadł obok Percival'a, dobył głosu i zawołał, nie mogąc się powstrzymać:

— Wiesz...?

Baron głową tylko dał znak potwierdzający. Jechali teraz milczący oba.

Powóz wsunął się w bramę, wysiedli.

Percival podał rękę dyrektorowi i poprowadził go do swojego gabinetu. Volanti padł tu na krzesło najprzód, chwytając się za włosy, potem wypił szklankę wody i grubijańskie przekleństwo z ust mu się wydawało.

— Ale zkądże możecie wiedzieć o tem! krzyknął.

Baron z krwią zimną, bardziej wyrobioną niż rzeczywistością, chodził po gabinecie i nie odpowiadał na pytanie.

— A`zatem ta przeklęta baba, nie dosyć, że mnie chce obedrzeć, jeszcze w dodatku chce mnie zuięslawić!

Ręce mu się trzęsły.

Baron, na którego słowo czekał, od którego może pociechy wyglądał, nic nie odpowiadał, chodził a chodził.

Volanti znowu rzucił się na krzesło.

— Sprawa niemoże być tak groźna dla mnie! zawolał po chwili. Nie było rozwodn, to prawda, ale separacya, to kwestya formy.

Baron, który szedł ku okna, odwrócił się do niego:

— Biorąc ślub napisaliscie w indagacyi, żeście nie przysięgali nikomu i nie jesteście żonaci... To był fałsz...

— Małego znaczenia, w gruncie przemilczenie dla uniknienia trudności.

— Ślub jest nieważny, rzekł francuz zimno.

— Jest przecież jakiś środek? krzyknął Volanti.

— Ja nie widzę żadnego, odparł baron.

— Lecz opłaciłbym był jej milczenie, przerwał dyrektor.

Percivał się uśmiechnął.

— Za późno się weźmiesz do tego ta jaszczurka Laura, już się z tem nosi po mieście.

Volanti krzyknął:

— Gotowa była z tem pobiedz do mojej żony... to do niej podobne.

— Za nic nie ręczę, szepnął francuz.

Dyrektor, który przed małą chwilą rad był jak najdłużej niepowracać do domu. teraz chwycił za kapelusz. Chciał się przekonać czy Marya nie była już uwiadomioną, i lękał się razem. Rzucił kapelusz na stół.

— Co tu robić! zawołał.

— Chcesz, bym do żony twojej pojechał? rzekł francuz.

Volanti zawahał się, życzył sobie tego i obawiał się razem...

— Gdybyśmy pojechali oba? wyjąknął.

— Chętnie... jedźmy! rzekł francuz.

Po wyjeździe Laury, Marynka przeszła do swojego pokoju. powstrzymując łzy, które ją dusiły. Tu sama z sobą, padła na łóżko, łkając i jęcząc.

Wielka ta moc nad sobą, którą przed chwilą wyrobiła, aby nie okazać obcej kobiecie co cierpiała, cała ją opuściła. Płakała jak dziecko.

Przechodziło jej przez myśl, że powieść przyniesiona mogła być potwarzą, lecz głos jakiś wewnętrzny mówił, że prawdziwą być musiała. Miała wszelkie cechy prawdopodobieństwa.

Czas ten, który spędziła z Volantim, bliższe poznanie jego charakteru, to co on jej sam opowiadał

o sobie, niestety! bardzo możliwem czyniło zamezcie i opuszczenie żony.

Człowiek ten, który jej dał imię swoje, był awanturnikiem. wiedziała o tem, nie przypuszczała tylko, aby przeszłość jego miała powstać i stanąć przeciw jej spokojności. Nie spodziewała się szczęścia, lecz unikając niesławy wątpliwej, wpaść w tak sromotny związek!

Marynce zdawało się, że tym razem dług, jaki zaciągnęła u Volantego, był co najmniej spłacony. Powinna się była uwolnić, uciec. powrócić do Berezówki, zakopać się na wsi.

Ani chwili dłużej nie chciała zostać przy tym człowieku, który się zwał mężem. a nie był nim.

Porwała się z łóżka i gorączkowo zaczęła chwycić okrycie, chustki, kapelusz, jakby natychmiast chciała uciekać. Sama?!

Mogła wziąć z sobą Zosiczową. Lecz miałaż uchodząc wziąć z sobą cokolwiek z tego co do niej właściwie nie należało! Zawahała się. Miałaż prawo cokolwiek sobie przywłaszczyć?

Na myśl jej przyszła bransoleta hr. Samsonowa, kilka podarków, które otrzymała i sprzedać je mogła. Tymczasem list wysłany do majora z prośbą o pomoc, o pożyczkę, musiał ją rychło ściągnąć od niego.

Wszystkie te myśli krzyżowały się. plątały niejasne, uchodziły, powracały... Jedna tylko stałe tkwiła: oswobodzenie się od tego człowieka.

Pożycie z Volantim, znoszone z anielską cierpliwością, było dla niej straszną męczarnią. Między nią a nim, nie było jednej myśli wspólnej, jednego uczu-

cia, któreby ich łączyło. Widziała w nim raczej pana, nieprzyjaciela, nabywcę. co ją pragnął wyzyskać, niż męża, towarzysza. Wstręt rosł z każdą godziną. a w Volantim widać było niechęć, złość niemal za to, że go ocenić, zastosować się do niego. posłuszną mu być nie chciała. Czuł w niej istotę od siebie wyższą i lepszą, a nie ma straszniejszej myśli nad tę, która jest upokorzeniem natchniona.

Marynka myślała jeszcze i płakała. niepewna, jak ma dopełnić to, co postanowiła, gdy na wschodach dały się słyszeć kroki. . Pobiegła do drzwi i zamknęła je na klucz, nie chciała się pokazać zapłakana. zrozpaczona. bezsilna...

Jakieś przeczucie zwiastowało jej, że Volanti przybywał.

Wkrótce zapukała służąca, oznajmując pani, iż nie mąż, ale baron w pilnym interesie domagał się koniecznie z nią widzieć.

W Percivalu widziała jedynego przyjaciela, nfała mu.

Prawie bez namysłu odpowiedziała służącej, aby barona prosiła poczekać chwilę.

Nie myślała się nawet ubierać do niego, z pośpiechem przyczesła włosy, umyła oczy, zapięła suknię, narzuciła na siebie chustkę, klękała przed obrazem pomodliła się w duszy i wyszła.

Szła drżąca. chwiejająca się, tak blada i tak widocznie cierpiąca, że Percival nie potrzebował pytać, wiedział. że to z czem przychodził, straszna wiadomość już go poprzedziła.

Rad jej był oszczędzić boleści i wyznania, wstydn.

— Przychodzę, rzekł, po rozkazy pani. Sądzę, że może w tej chwili zdam się jej na co. Widzę, że już ją uwiadomiono.

Zarumieniła się Marynka i zacięła usta.

— Co mi pan radzisz? zapytała z tą mocą nad sobą, którą odzyskiwała zawsze, ilekroć musiała godność swą przed ludźmi zachować.

— Przy największej mojej życzliwości dla niej, rada jest tak trudną... Zależy to od tylu względów różnych i pojęć położenia... Co pani myślisz uczynić? odparł francuz, ciekawie patrząc jej w oczy.

— Zdaje mi się, że obowiązkiem w chwili, gdy moje nieszczęśliwe małżeństwo jest zakwestyonowane, natychmiast się oddalić.

Spojrzała nań badająco...

— Lecz ślub być może uznany ważnym, rzekł baron.

— Dla mnie on nim nigdy nie będzie, bom z pierwszym nie wiedziała. Byłam oszukana.

Baron zmilczał, nie chciał się wypowiadać ze swej myśli, lecz nie zaprzeczał temu co powiedziała Marynka.

— Bądź co bądź, dodała ośmielona tem. ja się z tego domu oddalić muszę...

Francuz się skłonił.

— Każesz mi pani szukać mieszkania?

Marynka zawahała się nieco. Łzy jej pobiegły z oczów, otarła je żywo.

— Chciałabym na wieś powrócić, szepnęła.

— O tem spokojniejszą chwilą pomówioby należało; tak nagle niepodobna się ztąd oddalić Sara

sprawa, jeżeli jej uniknąć nie będzie można, wymaga bytności pani.

— Zosieczowa będzie ze mną, szepnęła, jakby sama siebie uspokoić chciała. biedna kobieta. Dokądkolwiekbądź... do pierwszego lepszego hotelu. mnie i ją racz pan przewieźć. Za chwilę będę gotową. Nie biorę z tych miejsc nic, bo nie oprócz tego, com z domu przywiozła, nie należy do mnie.

Zwróciła się ku drzwiom. spojrzała na barona. czy się nie sprzeciwia. Percival stał gotów do posługi. nie odzywając się wcale.

Upewniona i uspokojona Marynka, znikła. Francz nie ruszał się z miejsca. zadumany, niedostrzeżone pół uśmieszku smutnego, błąkało się po jego war-gach.

Na dole oczekiwał na niego Volanti, ale baron wcale nie myślał ani schodzić do niego, ani się tłómaczyć. Chociażby miał gniew ściągnąć, ważył się naj-przód służyć nieszczęśliwej kobiecie, a nie poczuwał się wcale do obowiązku stawiania w obronie oszusta i awanturnika.

Tak go teraz nazywał, a w rycerskiej gotowosci do poświęcenia dla nieszczęśliwej ofiary—któż wie?—było może wcale nierycerskiej rachuby na przyszłość.

Marynka mogła być wolną, a Percival sądził, że po tem co doświadczyła i przeżyła. nie mogła drożyć się z sobą. Serce miała niezajęte.

Co do powrotu na wieś! ten tak się baronowi zdawał niemożliwym, iż gdy o nim pomyślał, śmiać mu się chciało...

A teatr? sława? sztuka? możnaż to było tak łatwo i bez żalu porzucić?

Słowem ta chwila, z której mógł korzystać baron, zdawała się nadchodzić; czekał na nią długo. uśmiechało mu się, iż oczekiwanie nadaremne nie było.

Przyszło mu na myśl, że gdy dwie kobiety do powozu na dół sprowadzać będzie, Volanti spostrzeże je, domysli się, może chce żonę zatrzymać? Co w takim razie miał zrobić? Bądź co bądź, zdało mu się, że po stronie pani musiał stanąć.

Volanti w istocie był na dole, ale w takim stanie ducha, tak w sobie pogrążony, zły, nieprzytomny, że nic słyszeć nie mógł, nic nie widział, sam sobą nie władał. Zamknął się w swoim pokoju, na przemiany chwytal rum, to wodę, pił, rzucał się, zamyslał i niepodobieństwem mu było czy się uspokoić, ani coś stanowczego postanowić.

Nie przewidywał on, jak się zdaje, ani rychłego uwiadomienia Marynki, ani wrażenia, jakie ono wyrzucić miało i jego skutków.

Na myśl mu nawet nie przyszło, aby go natychmiast opuścić mogła.

Złość miał tylko do tej starej baby, która ścigała go aż tutaj i mogła mu przyczynić kłopotów. Pozbyć się jej jakimkolwiek kosztem najrychlej, było jego głównem zadaniem.

Nie spostrzegł więc, gdy Marynka z Zosiczową wyszły, siadły do powozu, a baron z niemi odjechał. Dopiero turkot powozu przypomniał mu Percival'a. i zdziwiło go, że nie rozmówiwszy się z nim, nie przyszedłszy do niego, oddalił się.

Nie wiedział co z tego wnosić, ale powiedział sobie, iż prawdopodobnie nic ważnego nie zaszło, a baron nie chciał go niepokoić...

Czekał... czekał tylko, rychło pani Izaura, lub od niej kto do niego się zgłosi.

Nie chciał się krokiem oddalać z domu, aby układu nie przewlec. Przygotował pieniądze, któremi sądził, że wymagania zaspokoї i w gorączce tej oczekiwania, nie mogąc jeść, choć od rana nic nie miał w nstach, nie chcąc spocząć, rzucał się jak zwierz w klatce.

Po kilku godzinach nadaremne go wyglądania, otworzył drzwi, zawołał sługę, dowiadując się, czy listu lub posłańca jakiego nie było, i otrzymawszy przeczącą odpowiedź, czekał znown.

Dzień prawie upływał w tym nieznośnym stanie niepewności i wyczekiwania.

Już się zmierzchało, gdy dorożka zajechała przed dom i z niej wysiadła Lacerti.

Zamiast iść na górę do pani, zapukała do drzwi dyrektora, który je otworzył, spodziewając się kogo innego, i zobaczywszy ją, rzucił się gniewny.

— Nie mam czasu! zawołał.

— Przepraszam, odpowiedziała wciskając się Laura: nie przychodzę we własnym interesie. Jakaś nieznajoma kobieta, która utrzymuje, że jest waszą pierwszą żoną, na kolanach mnie uprosiła o pośrednictwo w jej sprawie.

Volanti zmarszczył się strasznie. twarz mu krwią nabiegła tak, że się stała fioletową. Zamknął drzwi z trzaskiem za wchodzącą.

— Czego ona chce. ta kobieta? zawołał: mów!...

Lacerti udawała bardzo obojętną i poważną, a nawet litującą się nad biednym dyrektorem.

— Uspokójże się pan, rzekła, siadając. Czego ona chce. tego się łatwo domysleć.

— Pieniędzy! przerwał gwałtownie Volanti. Dobrze... rewolwer mi do gardła przykładaj? ile chce? mów!

Lacerti, jakby przestraszona tym wybuchem, głową poruszyła, okazując zdziwienie.

— Mówmy o tem z zimną krwią, kochany dyrektorze, rzekła; ja jestem tu tylko pośredniczką i posłem.

— I najprzód mi pani musisz za to ręczyć, jeżeli chcesz co dla niej zyskać, że wieść o tej napaści nie rozejdzie się. że mi pokoju nie zamąci... Mam płacić, bardzo dobrze, ale nie inaczej tylko gdy ta awanturnica z biletem jazdy będzie siedziała w wagonie. Ani godziny jej tu dłużej nie dam pozostać.

Lacerti ciągle z wielkim chłodem, na przekór mu doskonale odegrywanym, przerwała:

— Ale panie dyrektorze... ale panie Volanti, mówmy spokojnie, nie gorączkuj się pan.

Volanti w miarę jak mówił, przeciwnie coraz się okrutniej unosił.

— Ja nie mogę mówić o tem z krwią zimną! wołał: ta kobieta czyha na życie moje, na sławę. na szczęście!...

— Panie dyrektorze. ale ona ma pewne prawa...

— Żadnych! żadnych! wybuchnął Volanti! Awanturnica... niegodziwa!...

— Gdyby w istocie żadnych nie miała, nie wykupywałbyś się pan od niej.

— Ja? ale ja tak się wykupuję, jakbym na gościńcu rozbójnikom oddawał sakiewkę.

— Panie dyrektorze!...

Perswazye Laury, która ze złośliwością scenę tę przeciągała, nie nie pomagały; Volanti burzył się, pilno mu było dokończyć. Nie dając już mówić włoszce, począł z passyą:

— Powiedz jej pani, że dostanie — tu się namyślił — tysiąc, półtora tysiąca rubli, a niech się ztąd wynosi.

— Laura spojrzała na niego i głowę poruszyła znacząco.

Volanti zrozumiał ruch ten, jakby włoszka ofiarę znajdowała za małą.

— Dam dwa tysiące i niech ją szatani ztąd wynoszą! zawołał.

Lacerti, gdyby nie obawa zemsty i zdradzenia się z uczuciami, byłaby się na głos rozśmiała z tej pośpiechliwości Volantego, dowodzącej trwogi.

Zamilkł w końcu i chodził zdyszany, trąc włosy na głowie.

Lacerti siedziała.

— Dobrze więc, jadę, rzekła, doniosę o tem, coście mi opowiedzieli, i przywiozę wam odpowiedź. Albo, dodała, możebyście woleli, abym napisała?

— Nic, żadnych pism w tej sprawie. przerwał, dyrektor, i warunek, aby natychmiast opuściła miasto.

Piękna włoszka, widząc pośpiech jego i niecierpliwość, z tem większą powolnością podniosła się

z krzesła, poszła do zwierciadła poprawić włosy, i usmiechając się, zaczęła się żegnać.

Szydersko niemal zapytała go w progu.

— A zatem dwa, i wyjazd natychmiast?

Volanti drżał.

— Dwa! półtrzecia! trzy! niech ze mnie skórę zedrze! zawołał: a niech ją dyabli ztąd niosą!

Tym razem Lacerti się rozśmiała i odeszła z tym śmiechem do powozu.

Francuz ochłonął po jej wyjściu. padł na kanapę, zadumał się.

W pokoju zaczynało być ciemno. zawołał o światło.

Przyszło mu na myśl sługi o żonę zapytać.

— Pani wyjechała na miasto z Zosiczową i jeszcze nie powróciła, rzekł sługa.

— A ośiad?

— Nie było żadnej dyspozycji.

— Co się stało z baronem?

— Pojechał także.

We trzy dni po owej katastrofie. stanowcze jej rozwiązanie, które Volanti chciał przyspieszyć, nie przyszło jeszcze do skutku.

Wymagania pani Izamry. za radą jej przyjaciół, podniosły się do takiej wysokości, że Volanti, mimo

gotowości do ofiary. musiał się oprzeć. Dawał trzy, żądano od niego dziesięciu. Dyrektor wściekał się.

Wiadomość o wyjeździe żony i opuszczeniu przez nią domu, przyjął stosunkowo obojętnie prawie. Krok ten uważał za kaprys chwilowy i był pewien, że gdy się z panią Izaurą ułoży, żona do niego powróci.

Niepokoił się tem mniej daleko niż sprawą z awanturnicą, która zaczynała obiegać miasto i dawała temat do najdziwniejszych plotek.

Nieprzyjaciele Volantego, a protektorowie pani Izaury nasycali się trwogą Volantego i położeniem, w jakim go widzieli.

Lacerti po rozmowie, którą powtarzała wszystkim, zaklinała się, że należało stać twardo. a dyrektor dziesięć, i ileby zażądano, dać musi.

— Żona mu to wyśpiewa! mówiła Laura. Umiał dobrze zrobić z niej pierwszorzędną gwiazdę... pieniądze będą mieli... a litwinka nie będzie miała co lepszego do zrobienia tylko do gniazda powróci. Spółka z Volantim nadto dla obojga korzystna.

Ostatniego dnia, z porady Lacerti, żądano oprócz owych dziesięciu tysięcy, jeszcze kosztów podróży.

Żądanie to przywiozła Laura wieczorem Volantemu, który był już całym tym targiem znużony, i rozdrażnienie, w jakim go widziała pierwszym razem, zmieniło się w jakieś niemo osłupienie.

Włoszka pocieszała go, litowała się, przypatrywała mu się, usiłowała odgadnąć, radziła ciężkie przyjąć warunki, i niemało zdziwioną została, gdy Volanti wysłuchawszy jej szczebiotami, z jakimś chłodem i rezygnacją, dla niej niezrozumiałą, odparł krótko:

— Potrzebuję czasu do namysłu... Zatem do jutra... do wieczora — poprawił się zadumany; tak, do wieczora...

Zwłoka ta, po pierwotnym pośpiechu, zastanowiła mocno Laure.

— Czy nielepiejby prędzej to skończyć? — wtrąciła.

Volanti stanowczo powtórzył raz jeszcze:

— Do jutra... do wieczora.

Włoszka zobaczywszy, że brał za kapelusze i rękawiczki, nie mogąc odgadnąć, dokąd się wybierał, musiała go mocno tem zaintrygowana, pożegnać.

W chwilę po niej Valanti już był także w powozie i kazał się wieść do prawnika, który we wszystkich jego interesach był mu doradcą. Był to rodem Serb, Korabicz, człowiek lubiący życie, wesóły, na pozór otwarty, bystro pojmujący, umiejący chodzić około sprawy, a przebiegłością i zręcznością wsławiony. Brano go tylko do zrozpaczonych spraw, bo sobie ogromnie płacić kazał.

Korabicza trudno było zastać w domu, spraw miał na głowie więcej niż mógł obrobić, oprócz tego nie opuszczał wieczorów w klubie, grywał, a i bale bogatych kupców i mieszczan nie obchodziły się bez niego.

Jako człowiek „lubiący życie,” Korabicz utrzymywał chętnie stosunki z Volantim, bo przez niego miał wstęp za kulisy, i znajomości z teatralnym światem, który mu najlepiej do serca przypadł.

Szczęściem jakimś dyrektor znalazł go jeszcze w domu, nakładającego rękawiczki i wybierającego się do klubu

Zawsze wesóły jurysta powitał chmurnego dyrektora żartobliwem:

— Cóż ty u mnie robisz o tej godzinie? wszak wiesz, że dla starego kawalera (staro wcale nie wyglądał) klub ma swoje prawa.

Spojrzenie na ponurą i zmienioną twarz przyjaciela natychmiast ton tego przywitania zmieniło.

— Co ci to jest? począł troskliwie Korabicz. Volanti już leżał na kanapie.

— Na miłość bożą, odłóż swój klub, a posłuchaj mnie, zawołał. Przychodzę do ciebie po radę, jak do przyjaciela, ze spowiedzią jak do księdza.

Spoważniał natychmiast Korabicz, zrzucił rękawiczki, zadzwonił na służbę.

Samowar i herbata! rzekł, i przysunął się do Volantego.

Widział już, że rzecz być musiała bardzo seryo.

Francuz przygotowując się do opowiadania, zbierając myśli, milczał długo; Korabicz czekał z przykładną cierpliwością.

— Przebyłem w życiu wiele, począł wreszcie Volanti; nie jestem już młody, a bardzo młodo żyć począłem... W tych latach popełnia człowiek zwykle głupstwa, za które potem czasem do śmierci pokutować musi.

Korabicz te oklepane prawdy, głową kiwając, potwierdzał.

— Byłem młody, mówił dalej, wzdychając francuz — gdy się ożenił z bardzo ładną dziewczyną. Tak, była piękną jak anioł, lecz nic więcej, jeżeli chcesz, zepsuta jak szatan. Krew trzech komedian-tów miała w sobie. O pożyciu z nią nie ma co mówić;

było to piekło. Zostałem zmuszony w końcu rozstać się z nią. Pobralismy się we Francyi. nie dano nam tam rozwodu. ale separacyę. Ona poszła w swoją stronę, ja w swoją. Nie wiedziałem nawet co się z nią dzieje. Spotkał ją taki los, na jaki zarobiła... awanturnica!

Volanti coraz głos zniżał.

— Nie mam się nad czem rozciągać. dodał; wiecie, żem się tu niedawno ożenił. Ta kobieta z jakimiś wymaganiami spada mi tu na kark. Chcą mnie ze skóry obedrzeć. Przytłodzę cię się radzić.

Korabicz milczał zaszępiiony.

— Seperacya bez rozwodu. rzekł: jakże ci tu ślub dano? nie rozumiem.

Volanti się zarumieniał i milczał czas jakiś.

— Ja o pierwszym małżeństwie tem nie potrzebowałem mówić. Wykazałem się jako nieżonaty.

Prawnik się skrzywił bardzo.

— To fatalne! zawołał: to fatalne! Przemilczcie o pierwszym małżeństwie...

— Czem to grozi? wtrącił dyrektor.

— Co najmniej bardzo przykrym procesem, skandalem i karą. jaką ściąga wszelkie fałszerstwo.

— Wyrobić się z tego niemożna? spytał Volanti.

— Jużciż jeżeli tamta pierwsza milczeń będzie. a nikt nie zdenuncjuje. rzekł Korabicz: ale zawsze sprawa brzydka...

Nastąpiło milczenie.

Volanti leżał na kanapie w głębokiem pogrążony zamyśleniu.

Prawnik pił podaną herbatę, którą zresztą nawykł był pijać przez cały boży dzień. bez nstanku, rzucił pytania. szeptali poufnie. Rozmowa szła jakoś smutnie.

Z niej dyrektor coraz się mocniej mógł przekonać. że się znajdował na łasce kobiety i na językach złośliwych ludzi, prawie bezbronym. Korabicz go też przekonywał. że drugiej żony odzyskać nie mógł się nawet kusić. póki by sprawa rozwiązana nie została. Nie było wyjścia, a drogi, któremi się wydobyć i ratować mógł próbować Volanti, szły takimi manowcami. które złotem brukować trzeba. aby na nich nie zagrzęznąć.

Około północy. po długich i nudnych naradach, roztrząsaniach. wskazówkach. jakich mu udzielił przyjazny prawnik. Volanti. który leżał ocieęzały i jak obezwładniony. wstał nakoniec. Rękę zimną wyciągnął Korabiczowi.

— Dziękuję ci, rzekł krótko.

— Cóż myślisz?

— Sam nie wiem! Muszę w istocie dobrze objąć położenie moje i znaleźć jaki srodek ratunku — ale jaki?

— Z mej strony, dodał Korabicz, w czem tylko mogę, chętną ci pomoc ofiaruję. Jako obrońca wszelką sprawę przyjmuję tem bardziej twoją choć jest zła.

Nie mu już nie odpowiadając; Volanti mocno ścisnął jego rękę, westchnął ciężko, kapelusz nałożył, zapalił cygaro i wyszedł powoli.

Przez cały dzień następujący, ci co radzi byli śledzić kroki Volantego i domyslić się co pocznie. nie mogli wpaść na trop jego. Wrócił od Korabicza do

do domu, ale służący powiadał, że się nie kładł spać. Światło u niego zapalone było do rana. W pokoju słyszano ruch ciągły. Bardzo rano gabinet swój zamknawszy na klucz, wyszedł na miasto. Powrócił na chwilę do domu. wyjechał znowu, i nie oznajmując kiedy będzie z powrotem, jeszcze raz ruszył do miasta.

Przybywająca po stanowczą odpowiedź Laura nie znalazła go jeszcze. Służący wpuścił ją do salonu, bo mu zaręczyła, że Volanti miał przybyć. Tymczasem zmierzchno się, zciemniło, noc się zrobiła; wniesiono światło, a dyrektora nie było.

Lacerti z coraz większą niecierpliwością spoglądała na bardzo ładny zegareczek, który miała u pasa; nie pojmowała, co się Volantemu stało?

Mysli coraz czarniejsze przychodziły jej do głowy, ale wiedziała bardzo dobrze, że ani temperament, ani wiek, ani charakter, nie dozwalały przypuszczać, aby Volanti poszedł za przykładem Corsiniego.

Okolo godziny dziesiątej, znudzona, zrozpaczona, gniewna, zuieczierpliwiona. Lacerti posłała po powóz. Widocznie dyrektor musiał szukać jakichś innych dróg dla uwolnienia się od awanturnicy, której ona zaręczyła, po pierwszym z nią widzeniu się, że na wszystko, czego wymagać będzie, zgodzi się.

Wszystko więc teraz, winą całą, spaść miała na nią!

— Potrzeba mi było kłaść palec między korę a drzewo, szepnęła sobie po francuzku, dla głupiej rozrywki przypatrzenia się jego gniewom i szałom?

W istocie włoszkę czekał teraz kłopot niemały z kobietą, która poszła za jej radą. Wróciwszy do domu, wyklamała się dosyć zręcznie, wszystko od

kładając do jutra. ale wieczór był struty, całą noc zasnąć nie mogła. Klóciły się z matką, aż do pokazywania pięści.

Bardzo rano Lacerti była już u bramy domu, który zajmował Volanti. Tu ją przeciągnięte jakieś powitały twarze. Służba cała była na nogach, niepokój wielki.

Pan dyrektor wcale w domu nie nocował.

Jakiś przestrach i złe przeczucie, owładnął wszystkimi. Sekretarz dyrektora. porozsyłał na wszystkie strony, chcąc dostać języka, nigdzie go nie widziano.

Baron Percival, do którego dowiadywano się także, potrzasał głową dziwnie. Sekretarz wyszedł tylko, że w ciągu dnia, dyrektor zabrał całą kasę i u bankiera, u którego miał kredyt, znaczną sumę zaciągnął. Wszystko to dawało wiele do myślenia.

Lacerti rozpytawszy się ludzi, ściągnęła brwi, zacięła usteczka i powiedziała sobie w duchu:

— Uciek!...

Nie mówiła o swoim domysle nikomu, ale pojechała wprost na dworzec żelaznej kolei. Tu, jak wszędzie, sławiona artystka miała nieznanych wielbicieli, którzy widywali ją w teatrze i radzi byli się przysługiwać.

Łatwo więc jej było, uśmiechnąwszy się jednemu z młodszych urzędników, uprosić go, aby się przepytał, czy dyrektor Volanti (znany także wielu) nie jeździł dokąd dnia wczorajszego.

Kasyer sprzedający bilety, powiadał, że jego samego wprawdzie nie widział u siebie. ale spostrzegł go chodzącego po peronie i zdawało mu się, że dla

niego ktoś kupił bilet do Berlina. Nie był tylko zupełnie pewnym, czy do Berlina lub do Wiednia. Pamięć mu w tem nie dopisała

Lacerti była tak jak pewną teraz, że nie omyliło jej przeczucie.

Nie podzieliła się wiadomością zdobytą z nikim. powróciła do domu, ale unikając następstw swojego pośrednictwa, zrobiła nazajutrz małą wycieczkę gdzieś w okolice, a matka mówiła, że wcale nie wiedziała dokąd.

Wprędce bardzo potwierdził się domysł Lacerti, i dni następnych nie było już wątpliwości, że Volanti zbiegł, zabrawszy wszelkie fundusze, sprzedawszy, co się dało spieniężyć, zostawiając w dodatku mnóstwo długów, wierzycieli i rachunków niezaspokojonych.

Percival opiekujący się teraz Marynką, z wielką oględnością i delikatnością, zmuszony był przynieść jej tę wiadomość, która na nieszczęśliwej kobiecie wielkiego nie uczyniła wrażenia. Nie zmieniał to jej położenia, nie pogorszało, ani polepszało.

Baron wnosił, aby podała prośbę o unieważnienie ślubu i wydanie rozvodu, na co się ona zgodzić nie mogła. Wstyd jej było.

Ani wolna, ani związana małżeństwem, porzucona tak na rozdrożu, wyplakawszy łzy, Marynka powtarzała jedno, że chce powrócić do Berezówki, zamknąć się w niej i uciec od ludzi.

Percival, niewiadomo, czy przez ruchubę samolubną, czy na jakiejs opierając się podstawie, utrzymywał, że prawnie ślub nie był unieważniony, a ona w spadku po zbiegłym mężu, obowiązana odpowiadać

za jego długi. Obiecywał jej pomoc dla wyswobodzenia od tego ciężaru, ale tymczasem nie mogła się spodziewać, ażeby ją z miasta wypuszczono, dopóki interesa Volantego nie były uporządkowane.

Ci, którzy sprowadzili panią Izaurę, byli też w niemałym kłopotcie. Rozbiegli się i pochowali wszyscy, została sama, zrozpaczona, napróżno kołacząc do drzwi zamkniętych, zmuszona sprzedawać swe pozłacane brosze i bransoletki. Ktoś jej wreszcie doradził udać się do barona, który przez kamerdynera wysłał jej kwotę potrzebną na zapłacenie kosztów podróży. Chora, z gorączką, łzami i przekleństwami na ustach, siadła francuzica do wagonu, oznajmując p. Pipelet'owi powrót swój do gospodarstwa.

Tego samego dnia, gdy Marynka z Zosiczową opuściła dom Volantego, przenosząc się do hotelu, który baron jej wskazał, napisała natychmiast do majora, do jedyne go pozostałego opiekuna, od którego dawno bardzo nie miała już wiadomości.

Prosiła go w liście o jakąkolwiek pomoc, malowała mu okropne położenie swoje i oznajmowała, iż powróci do Berezówki.

List ten wyprawiła z trwogą w sercu; był on ostatnim ratunkiem, jedyną nadzieją. Obawą napędlano ją to, że major, ani jego siostrzeniec, od bardzo

dawnego czasu. od wyjazdu Krzewskiej. znaku życia nie dawali. Nie miała od nich żadnego listu, żadnej wiadomości.

Dawniej Kulwisz, choć mu to z trudnością przychodziło, pisywał chętnie. Posługiwał się Jurasiem w listach, donosił o tem, co się w Berezówce działo, nawet o drobnych szczegółach. mogących zająć i zabawić Marynkę, teraz milczenie miało coś w sobie wzbudzającego obawę.

Marynka pisywała, nie odbierając odpowiedzi.

Domyślała się nieco, iż pani Ildefonsa po powrocie, musiała Kulwiszowi takie rzeczy rozpowiadać o swym pobycie. które go zniechęciły. lecz nawet w najgorszym razie, mógł się odezwać choć chłodno, powinien był donosić co się działo z Berezówką.

W Berezówce pod te czasy zaszły smutne zmiany. iż milczeniu dziwić się nie było można.

Krzewska powróciwszy do swej marszałkowej. zaczęła w istocie od tego. że w świetle najstraszniejszem odmalowała Marynkę i jej życie. Rozeszło się to po sąsiedztwie, dobiegło do uszu majora, i Kulwisz przerażony pojechał umyślnie sprawdzić pogłoski. którym nie chciał dawać wiary.

Krzewska nie wahała się najczarniejszemi kłamstwami odmalować postępowanie Marynki, utrzymując, że była zgubioną na wieki. Powrót swój tłómaczyła tem, że na okropności. jakie się tam działy, patrzeć nie chciała.

Major dobroduszny. łatwowierny. nieprzypuszczający takiej przewrotności w kobiecie. która zawsze jeszcze dla niego miała w sobie coś z dawnego

ideału, zgryzł się tem straszliwie, w rozpacz go to wprawiło niemal.

Chciał w początkach jechać sam, aby pupillę wyrwać ztamtąd, lecz wiadomość o wyjściu jej za mąż, dobiła go tak, że zachorował.

Małżeństwo to potwierdzało część potwarzy, które Krzewska z sobą przywiozła.

Biedny Kulwisz, mimo swojego wieku. trzymający się dotąd rzeźko, nagle, jakby wybuchem dotąd wstrzymywanych chorób i dolegliwości przycisnięty, musiał pójść do łóżka i nie mógł już wstać z niego.

Artrytyczne bóle. pedogra. nerki. wątroba, znalazły się razem w spisku, aby mu ostatek dni zatrzeć. Doktora potrzeba było nieustannie, kąpieli, lekarstw. a nic nie pomagało.

Juraś musiał gospodarować za niego i chorego doglądać.

Biedne chłopczyśko starczyło jak mogło i umiało, zadaniu nad siły.

Na dobitkę złego, w Kącie zaczęło się psuć wszystko, na polach, w ogrodach; grad, pomorek na bydło. posucha, deszcze, jakby się zmówiły.

Major się niecierpliwił. i choroba rozdrażnieniem się powiększała.

W Berezówce szło nielepiej.

Juraś się musiał rozrywać, aby wszystkiego dojrzeć. a ludzie z jego nieświadomości i niedoświadczenia korzystali.

Na ostatek Dziwulski z porady jakiegoś prawnika, wynalazłszy najdziwniejsze pretensye do majątku zmarłej żony, począł proces oburzający. niesprawie-

dliwy, lecz wymagający pilności i narażający na kosztą.

Spiknęło się wszystko na biednego majora. Jednego wieczoru, gdy Juraś przy chorym siedział, chłopak go od łóżka wywołał i pokazał lunę na niebie w stronie Berezowicz i Berezówki.

Nie mówiąc nic wujowi, wyrwał się Juraś, siadł na konia i w cwał lecąc przez pola, dopadł na miejsce, gdy już ostatki budowli w Berezówce, gumna i sterty dogorywały.

Przyczyny pożaru nikt nie mógł dosledzić, szkoda była ogromna, a w tym stanie, w jakim majora interesa teraz się znalazły, niepowetowana nieobliczona.

Juraś struchlał z boleści... Choremu trudno było nawet powiedzieć o tem. Podatki zalegały nieopłacone, proces wisiał nad karkiem, pół nie było czem zasiać. Położenie stawało się rozpaczliwem.

Przez kilka dni Juraś, mimo łez, których oczy miał pełne, nie mówił słowa, nie wydał się z tem, co cierpiał. Szło mu o chorego.

W niebytności jego przybyły przypadkiem Żantyr, wygadał się z Berezówki pożarem. Uczyniło to na majorze takie wrażenie. iż tegoż dnia pod wieczór dostał gorączki, majaczyć zaczął, zrywać się z łóżka, i gdy doktor powołany przybył, pomimo leków i najdzielniejszego ratunku, w kilka dni życia dokończył.

Juraś pozostał sam, z kamieniem u szyi, a z nieodświadczeniem swem, nieśmiałością i obawą uczyńnienia kroku... tak znękany swem nieszczęściem. iż ręce tylko łamał, modlił się i płakał.

Na nadchodzące listy Marynki nie mógł. bo nie umiałby był odpisywać. Z wolna jednak konieczność radzenia sobie. samo położenie bez wyjścia, zmusiło go do oprzytomnienia i szukania środków ratunku.

Znalezienie ich byłoby mu przyszło z ciężkością, gdyż nadto był przygnębiony na duszy i umyśle, żeby się sam podźwignął, lecz Opatrzność w pomoc mu przysła.

Juraś w koźszynie, w butach podartych, nieprzyodziany. włóczył się około osieroconego Kąta. gdy stary Żantyr, który już od czasu pogrzebu majora widział go w tym stanie, a potem od ludzi słyszał, że z desperacyi głowę zupełnie stracił, przywłókł się do niego.

Prosty to był człek, zadomowiony. zardzewiały, cały w swoich organach i chwale bożej, zwykle milczący, ale wielkiego serca. Nawykł do zegarowego życia między plebanią a kościołkiem, skostniały tą monotonią zajęć i już latami ocieężały, Żantyr. gdy mu się serce poruszyło, stawał się innym człowiekiem.

Przywiązanie jego do nieboszczki Dziwulskiej i Marynki, o której losach słyszał od Jurasia, a dawniej od majora, podbndziło go do przekonania się w miejscu, czy Poterski, na którego teraz spadło staranie się o Berezówkę, da sobie radę z interesami. Spodziewał się powrotu Marynki, niepokoił się o nią, żał mu było tej ruiny, do której może tęskniła biedna wygnanka. Poszedł więc do Kąta zobaczyć, co się tam dzieje?

Zastawszy Jurasia bladego, wychudzonego. z oczyma wpadłemi. w koszuli brudnej, w butach na

bosę nogi wdzianych, lamentującego i ręce łamiącego. Żantyr dał mu się najprzód wyjęcie i wyskarzyć. Nie mówił słowa, stał, słuchał i patrzył.

Gdy w końcu chłopak z rozpaczy przeklinać zaczął swoją dolę, stary się obruszył:

— Tfn! do kata! zawołał: a to mi z wacana mężczyzna i człek! Nie na darmo cię nieboszczyk nazywał ciamajdą! Pytam się ja, w twoim wieku, z siłą, zdrowiem, rozumem, żebyś jak stara baba szpitalna żale rozwodził z założonemi rękoma. To mi dopiero zuch! Przez te dni, co wacan tu siedząc na łóżku piszczysz. gdybyś poszedł z siekierą do lasu, tobys na nowy dwór do Berezówki kilka sosen spuścił. Tyleby było zysku, a z tych babskich ślamazarnych łez co? Wstydź bo się! Pan Bóg pomaga tylko tym, co pracują i odwagę mają, a gdy widzi tchórza i niedołęgę, to się od niego odwraca!

Spostrzegłszy, że Juras zdziwiony oczy na niego zwrócił, Żantyr, postukując kijem w podłogę, mówił dalej:

— Bo na mnie wytrzeszczasz oczy! Mówię świętą prawdę. A. no! Gdyby o wacana jednego chodziło, możebym zmilczał, ale na nim tej sieroty ostatni przytułek. Kto wie, co się z nią tam stanie, ona może być zmuszoną uciec do Berezówki, a znajdzie ruinę, knęę gruzów i ogorzałe belki.

Ale cóżem ja winien temu? przerwał Juras.

— Któż cię obwinia? Co się stało, to było dopustem bożym, rzekł Żantyr: a do ciebie należy naprawić co można, i nie tracić męztwa. Masz panie Kąt, który ci po Kulwiszn został, masz przyjaciół

majora do porady, ruszajże się. otrząśnij z tego lenia. i do roboty!

Juras połajany, zaczął od tego, że idąc za sercem swem, wstał i poszedł uściskać Żantyra. dziękując mu za jego słowa prawdy.

Organista tedy ośmielony dodał mu bodźca. i ostatecznie tak jakoś poruszył. ośmielił, że Juras dał mu słowo zaraz nazajtrz wziąć się do roboty.

Od czego miał zacząć. nie wiedział dobrze, lecz postanowienie było mocne. Odszedł Żantyr trochę uspokoiony, wskazawszy jeszcze Poterskiemu reganta do rady. który był nieboszczyka przyjacielem.

Juraś pojechał do niego. Szło o obronę Berezówki od napaści Dziwulskiego. oprócz tego trzeba było na Kąt pożyczyć, aby bndowle nowe stawić, nasienie kupić i t. p. Juraś raz się zaprzągłszy do pracy, już jakoś szedł dalej i coraz mu było łatwiej. Ale na listy Marynki nie miał odwagi odpisywać.

Kochał się w niej biedny tą miłością czystą duszy pobożnej, człowieka nieznzYTEGO, brzydzącego się grzechem miłością ex-kleryka idealną, z modlitwami zmieszaną i patrzącą w obłoki. Oplakał zamążpójście Marynki, lecz i ono z serca mu wyrwać nie mogło jego przywiązania do niej. uczyniło je tylko jeszcze bezinteresowniejszem.

Bez żadnej nadziei biedny Juraś w milczeniu gotów się był dla niej poświęcić. Rano i wieczorem modlił się na jej intencję. Gotów był Kąt swój zadłużyć, a nawet sprzedać. sam pójść w służbę. byle Berezówkę oddać jej w dobrym stanie.

Miała w nim i w wuju jego zaufanie. powierzyła im ją, Juraś się czuł związanym.

Czyby sobie był dał sam rady, nie wiemy; lecz jak w porę mu zjawił się Żantyr z wyrzutami, tak w kilka tygodni nowy człek. zupełnie nie znany spadł mu z obłoków na ratunek.

Mówiliśmy już, że major Kulwisz nie miał rozeństwa, tylko tę jedną siostrę, która poszła za Poteruchę. wiadano, że był z linii męzkiej ostatnim. O innych Kulwiszach na Litwie jakoś słychać nie było. Lecz wieść o śmierci starych kawalerów i bezdziejnych ludzi rozchodzi się zawsze żywo, z różnemi dodatkami, a marzenia o spadkach są u nas szczególniej niemal chorobą szlachecką. Na prosty posłuch o jakimś zmarłym imienniku, dalekim powinowatym, zjawia się zawsze mnóstwo mniej więcej uprawnionych do zagarnięcia po nim spuszczny.

Tak też i po zgonie majora Kulwisza. bezdziejnego kawalera. a dziedzica wioseczki Kąt, dobrze zasposodarowanej, ocknął się w Kowieńskiem jakiś Kulwisz, i jednego ranka. gdy Juraś około dworku gospodarował, zobaczył kałamaszkę parą koni zaprzężoną. zatrzymującą się przed bramą.

Wysiadł z niej młodzik jego wieku. opalony, dosyć miłej twarzy. z gęstym wąsem zuchowato zakręconym, ubrany chędogo, ale skromnie. Na zapytanie czegooby sobie życzył, przybyły jakoś pomyślawszy, zmydlił.

Nawzajem spytał, czy toby był Kąt nieboszczyka majora Kulwisza? i dowiedziawszy się, że do niego trafił. wyjąknął, że radby się od kogo dowiedzieć coś o nieboszczyku, bo należał do jego rodziny.

Juraś bardzo gościnny i uprzejmy zaraz go z sobą do dworu poprosił. śniadanie kazał podać i o wuju

rozповідаć mu zaczął, niebardzo nawet dopytując z kim miał do czynienia.

Przyjezdny napił się wódki, chleba z masłem i wędliny zjadł dosyć, słuchał z uwagą i w oczy Juraszowi patrzył.

Poterskiego o kłamstwo lub udawanie nikt w świecie posądzić nie mógł, taka to była natura jawnie i serdecznie poczciva.

A że Juraś dawno przed kim nie miał się wyśpowiadać ze swych kłopotów, gdy go raz wyciągnięto na słowo, wyśpiewał co do joty wszystko, co miał na sercu, tajemnic żadnych nie miał.

Im dłużej mówił, tem się dziwniej przybyłemu lice rozjaśniało. słuchał i uśmiechał się.

Zdawało się go to zajmować mocno. Na ostattek wstawszy, począł Poterskiego ścisnąć i na głos się śmiać.

Nie było z czego. Juraś, mimo całej swej dobroci, zmieszał się.

— Przebacz, kochanku! rzekł wesoło przybyły. Jak Boga kocham, nie mogłem się wstrzymać, ale ci wytłómaczę zaraz dla czego? Byłem najpewniejszy, jadąc z Puciszek od rodziców, że coś tu podobnego dostanę. Nie i nie, wypędzili mnie gwałtem za sukcesyą. Głowę im ktoś nabił, że Kulwisz nikogo z roduństwa nie miał. Ale u nas to zawsze tak...

Tu dopiero Kazio Kulwisz z Puciszek zaczął opowiadać, jakie się tam wieści rozeszły o spuściźnie po majorze, jak go rodzice gwałtem do podróży zmusili i t. p. Śmiał się sam z siebie, że taki kawał drogi darmo się strząśł, ale dodawał, że z domu wyru-

szając, z góry był pewien, że tu nic innego nie znajdzie krom zawodu.

Między dwoma jednego wieku chłopakami zawiązała się teraz przyjaźń wielka. Jurasiowi ten Kulwisz nadzwyczaj przypadał do serca. a Kazio też tego krewniaka pokochał. Chociaż charaktery ich wielce się różniły, lecz poczciwi obaj, mieli też wiele wspólnego.

Kulwisz młody nie był nigdy klerykiem, wychował się na wsi, na swobodzie, trochę było w nim urwisza, ale poczciwego.

Żywy, czynny, nie mógł sobie dotąd znaleźć zajęcia, bo ich trzech było w Puciszkach przy ojcu, a on najmłodszy. Sam nie wiedział, co z sobą robić.

Tego dnia nagadać się nie mogli do późnej nocy, tak im z sobą dobrze było. Musiał Kazio dać słowo, że choć tydzień odpocznie w Kacie...

Nazajutrz wiedział już całą historję Marynki, trzeciego dnia pojechali oglądać Berezówkę. Kulwisz choć obcy, przy dosyć powolnym i nieśmiałym Jurasiu, tak się już rządził, jakby był we własnym domu.

Pod koniec tygodnia cbodził z kluczami do spi-chrza i pojechał pola oglądać.

Nadszedł był Marynki list do majora nieboszczyka, o którego śmierci nie wiedziała, proszący go, aby jej w pomoc przybywał, i oznajmujący, że chce do Berezówki powracać.

Juras wielce strapiony, gościa wziął do porady, co miał począć. Napisać, i nieszczęśliwą już kobietę listem jeszcze zgniebić, nie godziło się. Milczeć też było niepodobna.

Już wpadł na tę myśl, że gdyby się sam mógł dostać do niej. powoli ją przygotować i wytłómaczyć. najwłaściwszemby to może było.

Ale jakże tu Kąt i Berezówkę na lada oficjalistę zostawić, a interesa, a gospodarstwo! Podróż trwać mogła długo.

W końcu tygodnia Poterski tak był się przywiązał do Kazia, że gdy ten się w drogę do Puciszek na powrót wybierać zaczął, wyprosił jeszcze u niego trzy dni.

Byli z sobą jak bracia rodzeni. Kulwisz Jurasowi odwagi dodawał, Poterski go tamował nawzajem. gdy sobie nadto pozwalał.

Rozmowy o Marynce nie ustawały, i Kazio w końcu śmiejąc się, zarzucił Poterskiemu:

— Ale ty bo się w niej kochasz!

Juraś spieklł takiego raka. że się zdradził. ale natychmiast wytłómaczył się, jaka to jego miłość była. Że najprzód miał jakąś nadzieję doprowadzenia jej do Sakramentu. że teraz. gdy tej został pozbawiony, chociaż uczucia z serca wyrwać nie może. ale uchowaj Panie Boże! żadnej grzesznej myśli nie ma i najczystsze tylko uwielbienie.

Kulwisz słuchając śmiał się.

— Gadaj sobie co chcesz, rzekł: kochanie kochaniem. Nie ma w tem złego nic. Biednej kobiety szkoda, a i ciebie żal. Jeżeli ci się zdaje, żeś ty tam na co potrzebny, no, to jedź!

— Dobrze ci mówić: jedź!... z czem? jak?... odparł Juraś. Najprzód. że i pieniędzy nie mam, potem jakże ja tu wszystko tak na łaskę bożą zdam i na tego głupiego Czemczewicza!

Słuchaj ino! przerwał, stanął przed nim bntnie i w boki się biorąc Kulwisz: a gdybym ja tu został na twojem miejscu? Wprawdzie ty mnie mało znasz. jednak zaręczyć mogę, że jak ja się tu wezmę do gospodarstwa i ludzi, gorzej nie będzie, niż bywało.

Jurasiowi z radości oczy się zaiskrzyły.

Pieniędzy ci na drogę nie dam. dodał Kulwisz. dobywając sakiewki zielonej staroświeckiej z kieszeni, w której trochę musztynów i srebra się kołatało. bo ojciec mi na drogę tak obrachował grosz, że nie miałbym o czem powrócić. Patrzaj!...

I wysypał na stół co miał.

Juraś ani chciał patrzeć; myśl ta, że w domu go mógł Kulwisz zastąpić, wielce mu się uśmiechała. Szło o pieniądze.

— Mnieby wiele nie potrzeba, rzekł, bom gotów o suchym chleba kawałku... a no, zawsze podróż długa.

Wpadali na różne myśli. Juras był nawet gotów żydom kilkadziesiąt sosen sprzedać. zachowywanych od dawna, bo kiedyś na masztowe wyrosnąć miały.

Z południa na te ich rozprawy nadszedł stary Żantyr. Był on tu już raz w czasie pobytu młodego Kulwisza, i cieszył się, że on Jurasiowi ducha dodał. Zaczęli rachować, co sosny miały zrobić, gdy organista, mocno się zmachawszy, wyjąknął:

— Dajcie-no pokój! niechaj mi Poterski da skrypt. że mnie pocziwie pochować każe i dwadzieścia mszy za moją duszę zamówi. gdy umrę, dam sto rubańców, com je na pogrzeb schował...

Zawahał się Juraś z przyjęciem tej ofiary, lecz Żantyr nalegać zaczął. Kulwisz go popierał; usmiechała się nadzieja zobaczenia Marynki!

Można było przewidzieć, że w końcu Żantyr ruble swe przyniesie, i że one przyjęte będą. Tak się też stało.

Poterski, który mało w życiu podróżował, sam sobie niebardzo radzić umiał, jadący na pomoc biednej kobiecie, do kraju i miasta, którego wcale nie znał, było to przedsięwzięcie zuchwałe, niemal śmieszne. Jednak w oczach Jurasia, gdy szło o tę kobietę, nie było niepodobieństwa, czuł się zdolnym do wszystkiego.

Zaczął się wybór w drogę. Trzeba było najprzód do regenta jechać dla informacyi, dla uzyskania wskazówek, instrukcyi, bo regent bywał w stolicy. Przyjaciel majora, człowiek bardzo bystry, który nieraz od nieboszczyka słyszał o Jurasiu, że jest ciamajdą, i znał jego nieśmiałość, nieporadność, posłyszawszy o projekcie podróży, zdziwił się mocno i o mało się nie rozśmiał w oczy przybyłemu.

— Co waćpanu w głowie?... po co?... na co?... z czym?... Przepadniesz tam i zgniotą cię. Zresztą cóż poradzisz? na co się jej zdasz?

Regent się zdumiał bardziej jeszcze, gdy Juraś oburzony i ożywiony, odparł mu natychmiast:

— Trzebaż ją przygotować do tego, wytłomaczyć jej, że do Berezówki teraz powrócić nie może. Tego listem zrobić niepodobna. Choć ja tam nie orzeł jestem i nie mądry, ale przecież potrafię jej tę wiadomość, osłodzić. i pocieszyć i zaręczyć, że choćbym ja

mój Kąt stracił. ona swoją Berezówkę mieć będzie odbudowaną i jak być powinna.

Z taką to gorącością mówił Poterski, że regent prawie skonwinkowany, zamilkł.

Niebardzo się już sprzeciwiał, a nalegał tylko na trudności i nieprzyjemności podróży i na jej kosztą.

Juraś w innych rzeczach bojaźliwy, okazywał taką ufność w sobie, tak był pewien, że mu się nic nie stanie, że regentowi usta zamknął. Przyjaciel majora miał mu od siebie do znajomego prawnika dać list polecający.

Gdy się tak postanowiło wszystko, Poterskiego już od wyjazdu niemożna było powstrzymać. Rwał się i śpieszył. Praktyczniejszy Kulwisz, rozpatrzywszy się w jego garderobie, znajdował, że z taką odzieżą wybierać się było trudno do takiego miasta, ale tego Juraś zupełnie zrozumieć nie mógł.

Wiele mu nie szło o to, jak się pokaże, ale żeby tam mógł się dostać. Surdut nowszy znajdował dobrym choćby na królewskie pokoje.

Wytlómaczyć mu tego, że się tam mógł na śmiech narazić, nie było sposobu. Ze stu rubli pożyczonych od Żantyra, piętnaście jeszcze na niezbędne wydatki zostawiwszy Kulwiszowi, był pewien, że przy oszczędności, z powrotem jeszcze coś grosza przywiezie.

W istocie, pominąwszy to, że co tydzień trzy dni pościł Juraś, a jeden z nich był z suchotami, że wigilie i suchedni jak najściślej zachowywał, nawet w podróży w dni zwykłe jadał byle co i niewiele, a nie pijał nic oprócz wody. Chlebem z solą obchodził się,

nie doznając najmniejszej przykrości. Zdrow był pomimo to i dosyć silny.

Było to w lecie jakoś, więc nie potrzebował zbyt się odzieżą obciążać.

Kąt i Berezówkę zostawiał Kulwiszowi, spokojnym będąc o nie, bo ten się tak wziął zaraz do gospodarstwa, jak głodny do misy.

W Puciszkach nie miał co robić, tęsknił do jakiegoś zajęcia, i to mu tak było pożądanego, a tak miłego, że więcej za nie Jurasiowi wdzięcznym się czuł, niż on jemu za tę pomoc braterską.

Marynka oczekiwała ciągle wiadomości z Berezówki, mając najmocniejsze postanowienie powrócenia do niej. Niepokoiła się i płakała, nie odbierając nic. a Percival jak mógł i umiał ją uspakajał.

Wyjazd natychmiastowy był niepodobieństwem, bo w istocie wierzyciele Volantego na pozostałej żony wszelkiem mieniu areszt położyli. Potrzeba się było prawnie wyzwolić od niego. Oprócz tego na podróż nie miała pieniędzy.

Ze sprzedaży bransolety i małych klejnotów, jakiegoś szalu i koronek, które w podarunkach otrzymała, musiała żyć, a choć się jak najoszczędniejszym obchodziła, życie w hotelu z Zosieczową kosztowało dużo.

Baron pośpieszył z ofiarą, pożyczką, domysłając się jej położenia, lecz Marynka ją odrzuciła, zapewniając go, że lada dzień musi wiadomość i pieniądze z domu otrzymać.

Percival przychodził się dowiadywać codziennie, z początku przyjmowała go wdzięczną będąc, potem ta coraz większa natarczywość strwożyła ją, i pod pozorem choroby zamykać się zaczęła. Dotąd widziała w nim przyjaciela, nie przypuszczała, ażeby miał myśl jaką pozyskania jej dla siebie; nieostrożne słowo, zmieniony może ton i postępowanie, przestraszyły ją i uczyniły ostrożną. Wyrzucała sobie, że może zgrzeszyła nieufnością, że go krzywdziła podejrzeniem, lecz obawy przemódz nie mogła.

Sama ta myśl, że z jej położenia nieszczęśliwego ktoś mógł chcieć korzystać, oburzała ją i czyniła nieszczęśliwszą jeszcze.

Im bardziej los się uwziął na jej upokorzenie, tem czuła się więcej obowiązana, czuwać nad sobą i nie uleść jej ciosom.

Dźwigała się z dumą do tej walki, pocieszała się tem, że w duszy czuła się czystą i niewinną.

Dni jej w tem zamknięciu upływały jak najsmutniej.

Zosiczowa nie mogła być pociechą, ani towarzystwem właściwszem. Z najlepszem sercem, ale życie spędziwszy wśród ludzi, którzy inaczej się na świat zapatrywali niż Marynka, Zosiczowa takie czasem dawała rady, w takich szukała pociechy wróżbach przyszłości, że biedną kobietę słuchającą rumieńce oblewały.

Nie rozumiały się wcale.

Zosiczowa widziała nadsłakiwającego Percivala, Marynkę młodą, piękną i utalentowaną, zdawało się jej, że rozpaczać i wątpić o przyszłości najmniejszego nie miała powodu. Mąż ją opuścił, była wolną... mogła rozporządzać sobą...

Gdyby się nie obawiała pozostać sama, Marynka byłaby może pożegnała Zosiczową, zupełnie jej niepotrzebną, niekiedy przykrą mimo swej dobroci. Dla przyzwoitości zatrzymać ją jednak musiała. Lecz z rana po śniadaniu rozchodziły się zaraz. Marynka zamykała się w swoim pokoju, modląc się i dumając nad swoim losem.

Okolo południa zjawił się na chwilę Percival, a Zosiczowa była uprzedzona, że zawsze naówczas przychodziła i nie oddalała się z salonu. Wieczorem zamykano się znowu. Dowiadywanie się na pocztę było niemal jedynem zajęciem. Niekiedy, z powodu interesów Volantego, niepokojono się zapytaniem urzędowem.

Baron spostrzegłszy zaraz, że Marynka nie rada go była zbyt często, a nigdy sam na sam przyjmować, z przebiegłością sobie właściwą zastosował się do jej woli. Szło mu zawsze o to, aby się go nie obawiano. nie posądzano... aby nie był odprawiony... Wyczekiwał chwili właściwej do uczynienia stanowczego kroku, przyczajony, ostrożny, pewny, że godzina jego uderzy.

Im lepiej i bliżej poznawał Marynkę, tem był ostrożniejszy. Z Zosiczową chociaż nie mówił otwarcie, dawał się jej domyslać do czego dążył i miał ją całkiem za sobą. Znajdowała, że to było wielkiem

szczęściem dla Marynki mieć takiego protektora; i była pewna, że prędzej czy później ona go przyjąć musi.

Czas tak nplýwał, a niepokój biednej kobiety. zamiast się zmniejszać, rósł z dniem każdym, gdy raz wieczorem. niesmiało ktoś u drzwi zadzwonił.

Zosiczowa wyszła i zobaczyła stojącego u progu młodego mężczyznę, strwożonego. blade go tak drżącego, jakby był schwytyany na uczynku występnyim i jękającego się niewyraźnie, tak, iż go zrozumieć było trudno

Powierzchność wydała się jej tak dziwną, iż nie wiedziała co go tu sprowadzić mogło. Wprawdzie twarz miał wyrazu łagodnego i pokornego, wejrzenie niesmiałe, lecz z powierzchowności nie wyglądał na gościa. ale raczej na posłańca lub sługę.

Odzież dziwna. okrycie nietutejsze... czapka osobliwszego kroju... ręce bez rękawiczek... wszystko zdumiewało ją. zwłaszcza że się domagał widzenia z panią Volanti. Jaki mógł mieć do niej interes? Mówił źle po rusku. a zagadnięty po francuzku, zarumienił się i potrząsł głową.

Zosiczowa wcale go wpuścić nie chciała. Był jej podejrzany. Parlamentowała u drzwi; nie ustępował. nalegając i oświadczając w końcu, że przybywa z Berezówki.

Nazwisko to zaścianka tyle razy słyszała z ust swej towarzyszki Zosiczowa, iż ono jej w końcu oczy otworzyło.

Nie wahając się już. wpuściła go do przedpokoju... i miała iść o nim oznajmić Marynce. gdy ta wyszedłszy przypadkiem. zajrzała przezedrzwi, chwilę

stanęła bez mowy, i szybkim krokiem podbiegłszy ku gościowi. ręce obie położyła na ramionach, głosem dziwnym, płaczliwym wołając:

— Juraś!

Chłopak poruszony tak, że mówić nie mógł, rzucił się jej ręce całować. Marynka się rozplakała, on też łzy ocierał. Scena ta niema tak długo trwała, że świadkiem jej będąca Zosiczowa, obawiając się omalenia, podała wody Marynce.

Ocnęła się wnet, zobaczywszy ten ruch Marynka, i żywo weszła do saloniku, prowadząc za sobą drżącego i czapkę gniotącego w rękę Jurasia.

Żadne z nich nie umiało ust otworzyć...

— Przybyłem. przybyłem tu... począł się jękać Poterski: wprzód było podobna Bóg widzi, pośpieszałem jak mogłem. Niech pani wierzy...

— Nie pisaliscie nic! Major! odezwała się Marynka.

Na wspomnienie wuja, Jurasowi łzy się zakręciły w oczach, spuścił je, zamilkł.

Marynka nękała się tego wyrazu twarzy i braku odpowiedzi.

— Major? powtórzyła z wyrazem przestachu... mów pan!...

— Wuj. chorował, bardzo chorował ciężko.

Poterski nie mógł dokończyć.

— Lepiej się ma?

Nie było odpowiedzi. Juraś oczy trzymał wlepione w podłogę.

Marynka ręce załamała.

Zrozumiała, że już nie żyje, brak odpowiedzi na listy był wytłómaczony.

Obawiała się już badać więcej. Widziała Poterskiego tak pogwałconym, strapionym, że choć cierpiała sama, rada była go pocieszyć.

Zosiczowa weszła tymczasem przynosząc światło. Marynka z trudnością mogąca się już utrzymać na nogach, siadła, wskazując gościowi miejsce przy sobie.

Teraz dopiero mogła się ona jemu, on jej przypatrzeć.

Juraś, oprócz tego, że nieco zmęźniał a ostatnie miesiące wyrazem wielkiego cierpienia twarz mu napiętnowały, mało zmienił się zresztą. Po tych wszystkich ludziach, jakich widywała Marynka, do których była nawykła, to dziecię wsi, tak prostoduszne, tak niewynczone niczego, tak dziko wyglądające jakoś a naturalnie, uczyniło na niej wrażenie zjawiska przypominającego lata dawne, łąkę, kwiaty, lasy, wioskę, świat zupełnie inny.

Po ludziach, którzy postawę, ukłon, uśmiech, ruchy mieli według pewnych prawideł wystudowane, którzy nie byli sobą, ale czemś sztucznie wyrobionem i fałszywem, Juraś się jej wydał czemś anielskiem. Opalony, niezgrabny, niezręczny, przynosił z sobą coś ludzkiego, przy czem miejskie postacie na lalki wyglądały. Czuli, że z tych nst. pocziwych wyjść może tylko to, co serce podda, co myśl zrodzi, bez rachuby żadnej, bez przystrojenia kłamliwego.

Przypomniła sobie rozmowy z nim w Berezówce, uczucie jakie wówczas w niej obudzał, i niewygasała nigdy sympatya dla niego z całą siłą wróciła, silniejsza może niż była niegdyś.

Juraś patrzył na nią z przerażeniem jakimś. Obraz Marynki, który przyniósł tu z sobą, nie mógł przystać do tej za wcześnie, okrutnie dojrzałej boleścią kobiety... Ona to była, lecz czyż ona? Mógłże przeciąg czasu tak krótki, tak straszne po sobie zostawić ślady?...

To dziewczę na pół dziecię, które z takim życia zapasem opuszczało Berezówkę, mogłoż tak prędko stracić swą świeżość kwiatka, tak zestarzeć, tak zesmutnieć?

Juraś oczom nie wierzył. Tak, to były jej usta, to było wejrzenie przypominające wzrok jej dawny, ale na twarzyczce jakby kir i całun się rozpostarł. Oczy miała wpadłe głęboko, opasane brunatno, czoło przecięły zmarszczki, policzki ściągnęły się, i rumieniec zszedł z nich, a uśmiech zdawał się w tych ustach niepodobieństwem.

Była może piękniejsza niż niegdyś, lecz tak zbożała... jakby każdy miesiąc życia stał jej za lata.

Juraś uczuł litość niezmierną dla tej kobiety, której mężarnie nieznane mu, wypisane były tak dobitnie na jej licu, że nawet on je mógł przeczytać. Patrzył na nią przełękły, serce mu się ścisnęło, i jedno tylko miał na myśli: dać bodaj życie, aby ją ocalić.

Ocalić? jak? Zimny pot wystąpił mu na czoło. Patrzył i słowa już nie mógł wyrzec wpatrzony w nią. A ona już z cierpieniem obyta, już wypłakana i ostygła, widząc go tak przerażonym, choć sama doznawała odrodzonej boleści, zapragnęła dla uspokojenia go, oblec się przybranym spokojem i rezygnacją.

— Prawda? szepnęła cicho: musisz mnie znaleźć zmienioną. Tak. ja to sama czuję... tyłem doznała...

Nie nalegała na niego pytaniami, powolna, na pozór obojętna zaczęła się rozmowa, w której oboje starali się oszczędzać siebie.

Juraś, który się już był wygadał ze śmiercią stryja, nie chciał od razu przyznać się do tego, co z sobą przywiózł. ale ile razy napomykała o powrocie do Berezówki, spuszczał oczy i milczał.

Z pół godziny tak może siedzieli, mało co mówiąc, patrząc więcej, i Juraś w końcu, lękając się, aby zbyt wiele złego nie dał się jej domysleć, wstał chcąc odejść.

Lżej mu było resztę wyznań odłożyć na jutro.

Marynka chciała się nim zaopiekować w mieście. i zdziwiona dowiedziała się, że on już sam sobie w tym samym hotelu wyszukał izdebkę na poddaszu... tak, że zawsze mógł być na jej rozkazy. Przybył też tylko dla niej nie dla siebie. aby jej służyć.

Chociaż wiadomość o śmierci majora mocno dotknęła Marynkę, i kazała się jej domyslać, że brak tego opiekuna utrudni może wybranie się do Berezówki, nie przewidywała wcale, aby tam tak źle być mogło, jak było w istocie.

Oddychała lżej, zawiązany związek z miejscem rodzinnem, ze wsią, uspakajał ją. Nie była tak sama i na łup obcym wydana: ten pocziwy Juraś wydawał się jej jakby krewnym. bratem. czemś swoim i bliższym nad wszystkich. co ją otaczali.

Nazajutrz rano, ledwie ubrawszy się posłała niecierpliwa po Jurasia. Ten całą noc spędził na rozmy-

ślaniu, jakby miał wypowiadać się jej z tego wszystkiego, co wioził z sobą. Długo tać położenia nie mógł, na nicby się to nie przydało, przeciągało niepewność i szukanie ratunku.

Dnia tego postanowił, choć z oględnością. wypowiedzieć jej wszystko... Mimo energii, jaką w sobie budził, gdy go zawołano, gdy zmuszony był zejść do niej, drzeć zaczął. Nim wyszedł za próg, złożył ręce, zamknął oczy. z pobożnością, której nigdy nie stracił, odmówił krótką modlitewkę.

Ile razy mu sił brakło. czerpał je z tego źródła, u którego je znajdował zawsze.

Po dniu Marynka, choć usiłowała wydać mu się bardzo spokojną, jeszcze była mizerniejszą i więcej zbiedzoną. Juraś zawahał się nawet. czy godziło mu się do jej cierpienia nowe przydać i wyznać wszystko...

Lecz ona zarzuciła go tak szczegółowymi pytaniami natarczywymi od razu. że biedny chłopak, który kłamstwem się brzydził i udawać nie umiał. przyparty. zmuszony, w końcu musiał jej wyznać wszystko.

— Pani droga! pani moja! zawołał: jeden Bóg wie, jak mi przykro było tu jechać. nie mając nic dobrego do przywiezienia. Niech się pani uzbroi w męztwo... niech westchnie do Boga... Do Berezówki teraz wracać niepodobna.. dopust boży, spaliło się wszystko. a i spokoju tam nie ma... Bieda wielka!

Zbladła słuchała go sierota. po twarzy jej przechodziły konwulsyjne drżenia, lecz całe swe męztwo przywołała. aby nie wybuchnąć rozpaczą i płaczem.

Zaczęła się rozpytywać Jurasia. Ten widząc ją na pozór zrezygnowaną. malował wierny obraz trosk

swoich i wuja; wszystkie straty, napaści Dziwulskiego, w końcu niedostatek, który ledwie mu tu przybyć dozwolił.

Wyznał, że nietylko nie przywieźć nie mógł, lecz sam zaledwie się tu dostał. W końcu tego opowiadania, rozplakała się Marynka.

Naówczas Poterski składając ręce jak do przysięgi, począł ją upewniać, że chyba żyw nie będzie, jeżeli wszystkich szkód nie wynagrodzi, nie oczyści Berézówki. Gotów był swój Kąt poświęcić, życie swe, ale na to potrzeba było czasu.

Lecz ten czas właśnie gdzie ona przebyć, co z sobą zrobić miała?... Nie wiedziała sama... Widziała tylko ruinę do koła, wszystko rozpadające się w gruzy... siebie opuszczoną, zgubioną.

Milczenie jej i osłupienie tak było wymowne, że Juraś zrozumiał je, i gorąco pocieszać, uspakajać znowu zaczął:

— Niech pani wierzy... wszystko się naprawi... zrobię co pani zechce, co każe.

Zatopiona w myślach Marynka, mało co już słyszała. Potrzebowała być sama z sobą, łązy ją chwilami dławiły, w oczach się émiło. Cichym głosem odprawiła Jurasia, który wysunął się posłuszny.

Po wyjściu jego, Marynka rzuciła się na kanapę, kryjąc twarz w dłoniach, i pozostała tak nieruchomą.

Zosiczowa wchodziła i wychodziła, zbliżała się do niej, pytając czyby czego nie potrzebowała? i musiała odchodzić, nie odebrawszy odpowiedzi.

Nie była w możności podnieść się Marynka, myśli zebrać nie mogła. Pragnienie śmierci, końca, było jedynem uczuciem, którego doznawała. Życie nie mia-

ło celu. złamane było na wieki... prosiła Boga, aby ją zabrał do siebie. Wszystkiego miała już dosyć.

Baron Percival, który w tej porze przychodził codziennie, zjawił się i dnia tego w przedpokoju, i zastawszy tu Zosieczową, dowiedział się od niej, że przybyły ze wsi ktoś złe bardzo przywiózł wiadomości, że Marynka była zapłakana, i słowa się z niej dopytać nie było podobna.

Wiadomość ta nietylko nie odstraszyła barona, ale zdawała się bodźca mu dodawać. Chwilę podumawszy w drogu, wszedł do saloniku, w którym Marynka jeszcze leżała z twarzą zaslonioną.

Znajomy chód jego, zmusił ją, by się podniosła. Chciała wytłómaczyć się chorobą, bólem głowy, lecz na wpół poczęty frazes w ustach jej łkanie przerwało.

Po cóż miała taić się przed baronem, który tyle jej dawał dowodów bezinteresownej przyjaźni?

Westchnęła ciężko.

Percival ze współczuciem, pochylony wyzywał, aby mu się zwierzyła.

— Po cóż mam kłamać! zawołała nagle ocierając oczy. Prędzej, czy później musiałbys pan wiedzieć o tem. Pokładałam nadzieję na tym opiekunie, któremu mnie powierzyła matka, chciałam natychmiast na wieść powracać... Opiekun umarł, biedne gniazdo moje spalone, nie mam żadnych środków... nic — nic! jestem na łasce losu, który nademną nie ma litości!... Została mi...

Percival nie dał jej dokończyć, z tem umiarkowaniem człowieka wielkiego świata, który najmocniej wzruszony, trzyma się na wodzy, aby wybu-

chowi nawet nadać formę przyzwoitą, począł ją na swój sposób pocieszać i uspakajać.

— Nie widzę w tem wszystkiem. rzekł. najmniejszego powodu do zwątpienia i rozpacz. Nie ma nic straconego. powiedziałbym prawie, że to co się stało, Opatrznościowo było zesłane, aby pani wskazać drogę. Nie godziło się, nie godzi z takim talentem. z pozyskanem już imieniem zakopywać się na wsi. Co znaczy strata małej wioseczki. gdy pani w przeciągu jednego sezonu możesz mieć krocie?

— Ja? wystąpić na scenę? ja? po tem co się stało? co świat cały wie!! zawołała Marynka.

— Przepraszam panią, przerwał baron bardzo gorąco, cóż się stało? Awanturnik nadużył jej do brej sławy. stałaś się ofiarą. To jej może tylko zjednać sympatyę. to więcej jedną atrakcyą. Zresztą, dodał. jak adwokat broniąc sprawy, w której widział dla siebie korzyści, zresztą nie masz pani nic innego do uczynienia, mus jest. konieczność uciec się do tego, co ją wyprowadzić może z tych zawi-
kłań i uczynić niezależną.

W ten sposób rozpoczęły się rozprawy między nią a Percivalem, który był tak zręczny, że jej nie dał ani poczuć, ani się domyślać, iż miał jakikolwiek interes w tem. do czego ją nakłonić się starał.

Marynka sama. pomimo całego wstrętu, jaki miała do teatru. publicznych wystąpień i zetknięcia się znowu ze znienawidzonym światem, widziała. że w istocie dla niej nie było innego wyjścia w tem położeniu. jak albo przyjąć pomoc czyjaś. lub pracować dla nyzkania niezależności.

Duma jej nie pozwalała ani pomyśleć o pierwszym, chociaż baron z największą delikatnością, ofiarował jej usługi swoje. Praca zas najłatwiejsza, najwłaściwsza. ta. która najprędzej mogła ją oswobodzić, była... na scenie.

Nie mogła jednak jeszcze tej ostateczności przyjąć, zgodzić się na nią.

Baron po godzinnej rozmowie. widząc ją coraz bardziej podrażnioną. w kilku słowach weselszych zakończył. pożegnał się i wyszedł.

Juraś chodził po swej izdebce na poddaszu, czekając aż go wezwą. modląc się chwilami i gryząc sobą i losem Marynki.

W rozpacz go wprawiło. że poseł nieszczęścia, zwiastun tak złych wiadomości. nic—nic poradzić. na nic się nawet przydać nie mógł.

Głód zaspokoiwszy kawałkiem chleba i wędliną. którą miał z domu. dotrwał tak do wieczoru. przysłuchując się. czy mu nie dadzą znać. żeby zszedł. Zdawało mu się. że o nim zapomniano. Wieczorem dopiero Marynka kazała go przyzwać na herbatę.

Znalazł ją bardzo bladą. z oczyma jakby w gorączce świecącemi. lecz już niby spokojną.

Dała mu znak. ażeby usiadł.

Bez narzekania. bez utyskiwań. zaczęła go pytać o Berezówkę.

Nie było mowy o pożarze. o stratach. o niczem. dowiadywała się o ogródek swój. o ławkę w nim. o drzewa za dworkiem.

Juraś z zapalem. z jakim wszystkiem tem się zajmował. opisywał jej najmniejszą rzecz. upewniał.

że pielegnował wszystko, że nie dał zginąć żadnemu kwiatkowi, zarosnąć żadnej ścieżce.

Ona była cała we wspomnieniach, niemi usiłowała zatrzeć terazniejszą smutną.

— Gdyby przyszła do odbudowania dworku, rzekła, trzeba go zupełnie takim postawić jak był, nie odmieniać.

— I ja też tak myślałem, odparł Juraś.

Zadumała się potem.

Zaczepiony o Berezówkę, Poterski ośmielony rozwiódł się nad tem szeroko, jak z pomocą Kulwisza młodego, spodziewał się prędko wszystko do najlepszego przywrócić stan.

Powtarzał ciągle co miał na myśli:

— Chociażbym Kąt miał stracić, a Berezówka będzie znowu jaką była.

Przerwała mu Marynka, zapytując o Żantyra. Pocziwe chłopię nie mogło się wstrzymać. by się jej nie przyznać, jak jego pogrzebowych sto rubli w pomoc mu przyszło do podróży, bo bez nich nie było sposobu puścić się w drogę.

Marynka płakała cicho, dowiadując się o tych szczegółach, tak dobrze malujących niedostatek, który tam panował.

Nie należałoż jej się poświęcić ze swojej strony? śpiewać, aby zarobić i Jurasiowi, i im wszystkim wynagrodzić ich ofiary? Tak! musiała wystąpić, musiała z bólem w sercu uśmiechać się, żebrząc o oklaski, bo one złoto sypały...

Gdy Juraś odszedł późno już na poddasze. nie miał już nic z czegoby się jej nie wypowiadał. Umiała z niego dobyć co chciała, tak panowała nad nim!

Rozgorzało znów biedne chłopię. stokroć może niebezpieczniej niż niegdyś. takim urokiem nowym obdarzało ją męczeństwo. Zdawała mu się jakąś istotą z obłoków. z niebios wygnaną, której on nie był godzien tknąć kraju szaty.

Rozstali się późno.

Marynka poszła milcząca do swojego pokoiku już z tą myślą i postanowieniem. że powinna powracać do życia, dla ktorego czuła ohrzydzenie.

Baron nazajutrz przyszedł się tylko dowiedzieć o zdrowie. Nie usiadł nawet z początku. nie chciał być natrętnym.

Sama ona zatrzymać go musiała: żądała rady. Pierwsze jej słowo zdradziło jej postanowienie powrotna na scenę.

Percival usiadł.

— Nic łatwiejszego, rzekł: nowy dyrektor w tych dniach zapewne będzie wybrany z liczby kandydatów. którzy się o to dobijają. Nie ma wątpliwości, że on sam starać się będzie panią pozyskać. Nie sądzę. aby o to starania jakie czynić potrzeba. Tymczasem mojem zdaniem, jeśli pani wolna, sezon jeszcze nie rozpoczęty. byłoby bardzo korzystnem urządzić kilka koncertów. Hr. Samsonow żywy bierze udział we wszystkim, co się jej tycze; on i inni wielbiciele, siebie nie liczę, dodał baron, postarają się. aby koncerty świetne dały rezultaty.

Marynka raz się zgodziwszy na ofiarę. gotowa była na wszystko.

Zmuszona była wreszcie uciec się choćby do koncertu. bo ostatki zapasów się wyczerpywały, w hotelu była winna.

Wprawdzie majątny właściciel jego, francuz, grzeczny do zbytku, elegant, w pretensyach i w tupecie, ofiarował kredyt nieograniczony. przysyłał bukiety, był z nadzwyczajnymi attencyami, ale te laski, nudnymi wizytami jego i słuchaniem zwietrzałych komplementów trzeba było opłacać.

Percival, który dzięki współczuciu swemu, okazywanemu pani ex-dyrektorowej, uchodził już za jej dawnego kochanka, a. posądzonemu tym wcale nie zaprzeczał. zaledwie wyszedł z hotelu; począł się nadzwyczaj gorliwie zajmować urządzeniem koncertów... Pojechał do hr. Samsonowa, do ks. Agatona, do właściciela sali, która mu się zdawała najstosowniejszą, kazał nawet wydrukować bilety wejścia bez daty, mając zamiar natychmiast je rozdać między swoich znajomych i przyjaciół śpiewaczki.

Nie wahał się odmalować stanu, w jakim ją Volanti porzucił, w sposób poruszający. Lecz gdyby współczucia nie miała znakomita śpiewaczka, dosyćby było ciekawości, jaką obudzała.

Cała legenda już przywiązana była do jej imienia: Volantego miłość, Corsiniego namiętność, porwanie, samobójstwo, małżeństwo, romans z Percivalem, ucieczka francuza. składały się na tragiczny romans. na historję, która kobietę biedną i niewinną czyniła jakąś heroiną, wcale odmienną, nic a nic niepodobną do tej. jaką była w istocie.

Po tylu w krótkim czasie przebytych zmianach losu, jakże nie było posądzać tej, która im uległa, że swem postępowaniem wywołała, że swą pięknoscią i talentem spowodowała te wypadki?

Zdawało się więc niejednemu, że piękna Litwin-ka jest na drodze, na której wielu jej zabiedz może, z nadzieją rozkołysania tak łatwego serca.

Baron przecież nie mógł być niesmiertelnym jej kochankiem.

Lacerti była już pogrzebała nieszczęśliwą współ-zawodniczkę i była pewna, że nie powróci tak prędko na scenę; cała jej usilność skierowana była, aby w nowym składzie trupy uzyskać pierwsze stanowisko... gdy razu jednego zjawił się u niej wieczorem wszystko wiedzący młodzieniec (było to jego powołaniem, czasem bowiem i reportera pełnił obowiązki), zwiastując, że już po mieście bilety na koncert Burcelli rozprzedają.

Laura sądząca dotychczas, że Marya była chora, zniechęcona i na wyjeźdnem (bo tak jej mówiono), przyjęła tę wiadomość najprzód niewiarą, potem niepokojem i gniewem...

Czuła to. że jeśli w koncertach spiewać będzie, nieochybnie ją zaangażują.

Oburzyło ją to. Lecz, że rozstały się na stopie przyjacielskiej (tak twierdziła), postanowiła natychmiast sprawdzić pogłoski, widzieć się z Maryą, i co potem nastąpić miało, potrzebowała rozważyć.

Z rana była już w hotelu, złapała Zosiczową, wydała się przed nią ze współczuciem dla nieszczęśliwej, przychodziła jej ofiarować bezinteresowną pomoc swoją.

Wypadało choć podziękować.

Wpuszczono ją do Marynki

Na widok zbolalej jej twarzyczki, Lacerti naj-

przód zakrzyknęła, że to było zabójstwem w takim stanie zdrowia chcieć występować.

— Cóż chcesz? jestem zmuszona! odparła Marynka. Urózuje się, a śmiać się, gdy serce płacze, umiemy wszystkie.

Ofiarę Lacerti śpiewania w jej koncercie przyjęła Marynka z wdzięcznością, ale odesłała ją z tem do hr. Samsonowa, który koncert urządzał, program miał ułożyć i wszystkiem się zajmował.

Laura wcale nie miała ochoty śpiewać obok rywalki, rada więc była okazać gotowość, a cofnięcie się złożyć na odrzuconą ofiarę.

Z ciekawością złośliwą przypatrzywszy się, rozpytawszy, dobadawszy wszystkich boleści położenia, Lacerti w końcu pożegnała swą przyjaciółkę.

Gdyby była mogła, byłaby serdecznie przeszkodziła koncertowi, zmieszała szyki podstawiała coś, co by zachwiało powodzeniem lub uniemożliwiło występ ten, ale siły jej i sprzymierzeńców nie starczyły przeciw protektorom Marynki.

Lacerti bardzo zła wróciła do domu. W łyżce wody byłaby utopiła tę kobietę, przy której podrzędną rolę zawsze grać musiała.

Percival tymczasem tak zabiegał, że wszystkie bilety wkrótce były rozerwane.

Marynka, która od dawna nie śpiewała, potrzebowała sobie przypomnieć arye, które wybrano.

Zmusiło ją to zmienić mieszkanie, nająć fortepian i na nowo wziąć się do tej muzyki, która jej całą tragedję życia przeszłego przypominała.

Z początku głosu dobyć nie mogła, zdawało się

jej, że nie potrafi zdobyć się na wesołe nuty, na dźwięki, które stanowi duszy kłam zadawały.

Walczyła z sobą, zaczęła nucić, rozplakała się, porzuciła nuty, wróciła do nich, i po godzinie może pasowania się, zaczęła w końcu śpiewać jak machina. Dopiero wyraz bólu i namiętności poruszył ją, opanował, i dawna potęga głosu powróciła.

Sztuka, ten demon wszechmocny, znowu ją ujęła w ramiona, i po nad ziemię uniosła; zapomniiała o wszystkim

Pieśń płynęła srebrnym strumieniem, a łzy niedopłakane, bezwiedne toczyły się po twarzy. i tak ją cicho wchodzący Juraś zastał, zatrzymując się w progu, przelekleł.

Wydała mu się natchnioną, czy obłąkaną. a straszną jakąś... Wrósł w ziemię, nie śmiejąc się ruszyć.

Marynka dopiero skończywszy śpiew, zobaczyła go przy ścianie, w progu, na straży... Rzuciła się na krzesło i widok smutnego chłopca, który mógł ją posądzić o brak uczucia, o jakąś zabawę z dobrej woli, zarumienił wstydem jej lice.

Dziwisz się pewnie, słysząc mnie śpiewającą? odezwała się, nie prawdaż? Myślisz może, iż się bawię? O. nie! to mój chleb, a ja na chleb zarobić muszę. Płaczę a śpiewam... taka dola moja.

Juraś milczał. W duszy swej wyrzucał sobie, że on niedołężny, nie mógł jej wyswobodzić od tego śpiewu i męczarni.

Zbliżył się, pocałował ją w rękę i uciekł.

Koncert był świetny. Co tylko miała stolica dyletantów, ciekawych, łaknących widowiska, potrzebujących na jutro tematu do rozmowy, tych, co widzieć chcieli i pokazać się musieli—wszystko to natłoczyło się do sali.

Z nadzwyczajną niecierpliwością, po odegraniu uwertury, oczekiwano wyjścia divy na estradę...

Za wczasu spierano się już o to: kto ją miał wyprowadzić? Z przekąsem szeptali niektórzy, iż powinien się tego być podjąć baron.

Zaszeleściła suknia i ze skromnym bukietem fiołków w ręku, otoczonym kameliami białymi. w sukni czarnej. ubrana bardzo po prostu, ale majestatyczna, pańsko, smutna, wysunęła się sama. Nikt jej nie towarzyszył. Było to przeciwko zwyczajowi, lecz tak chciała, tak postanowiła.

W sali przez chwilę panowało jakies zdumione milczenie, i wnet burza oklasków nieskończonych.

Marya kilka razy musiała dziękować, kilka razy próbowała zacząć śpiewać, ale oklaski nie ustały. sypały się bukiety i nierychło nastąpiła cisza.

Lacerti siedząca w loży, usta zagryzła do krwi.

— Dopóki ta kobieta tu jest, żyje i śpiewa, nie będę nigdy przenigdy mogła być pierwszą. rzekła w duchu; lecz konwulsyjnie poruszającemi się rękami sypała oklaski, tak aby wszyscy je widzieć mogli.

Początek koncertu już dał miarę tego czem on miał być cały.

Śpiewaczkę współczucie okazane natchnęło; nie ma ktoby mu nie uległ... dreszcz ją przeszedł, prze-

stała być kobietą, męczennicą, była na chwilę artystką.

Boleść wewnętrzna zdawała się jej nowe dawać siły; nigdy się nie wydała namiętniejszą, nigdy cudownej piękną i bardziej panią.

Przeciwnicy nawet przyznawali jej to znamię szlachetności jakiejs, dystynkcyi, którego inne śpiewaczki nie miały. Ani twarz, ani postawa nie zdawały się jej nadawać tej cechy, piętnowała ją dusza. Uniesienie było ogromne, powodzenie nadzyczajne. Zgadzałi się na to wszyscy, że przyszła trupa nie mogła się obejść bez tej gwiazdy, że stracić ją byłoby niepowetowaną szkodą.

Pieniężny obrachunek koncertu przeszedł także najśmielsze oczekiwania; po nim jednym można było cierpliwie czekać kilka miesięcy na otwarciu teatru, a tyle osób wymagało powtórzenia, iż śpiewaczka mu się oprzeć nie mogła...

Dwa te wystąpienia na dosyć długi czas czyniły ją niezależną, spokojną, dozwalały nawet Juraszowi dać coś na budowę i ulepszenia w Berezówce.

Juraś, któremu bilet dano, pierwszy raz w życiu rzucony w ten ogień, dobrze że w nim nie oszalał. Powrócił, jakby po jakimś widzeniu, ekstazie, czemś niezemijskiem i nieprawdopodobnem.

Ludzie, których tu widział, stroje, zapach, namiętność, szach, krzyki, muzyka, upoiły go i przestraszyły.

Pytał się sam siebie powracając do domu, czy w takim ukropie żyć, wytrwać można i na zbawienie zasłużyć. Ex-kleryk miał to zawsze na baczeniu, i smucił się, bo czuł w tem coś szatauskiego, a tu jego

anioł, dla nieszczęsnego grosza, musiał iść w to piekło...

Cóżby był dał, gdyby ją mógł wyratować!

Wdzięczność za oba koncerty, które trochę uspokoiły Marynkę i dały jej odetchnąć, należała się niewątpliwie baronowi. Czula ona to, i przy pierwszym widzeniu się z nim, podeszła do niego, przejęta, pełna ufności, obie ręce mu podając i uśmiechając się:

— Dziękuję!

Baron wpatrzył się w nią przez chwilę wzrokiem tak natarczywym, że Marynka zmieszała się i oczy odwrócić musiała. Miała jednak odwagę powiedzieć mu:

— Panie baronie! nie patrz pan tak na mnie i nie odbieraj mi uczucia, jakie mam dla niego... Chcę, by ono mi pozostało. Mam dla niego wdzięczność i szacunek.

Percival westchnął.

— Pani! rzekł, powstrzymując się: chciej mi wierzyć, że nadto cenię to co mam, abym śmiał żądać więcej. Zdaje mi się, żeś pani dawno odgadnąć musiała, iż byłem więcej niż przyjacielem jej, żeś się szalenie rozkochał, żeś nawet miał nadzieję...

— Nie krzywdź mnie, nie potwarzaj pan siebie, odparła śmiało Marynka. Czyż tak nam nielepiej? czyż jest nie godniejszem pięknej duszy zaspokoić się przyjaźnią świętą i czystą?

Podawała mu rękę.

— Nie psuj mi pan marzenia mojego.

Percival uśmiechnął się.

— Będę posłusznym, rzekł.

Marynka spuściła oczy.

— Są takie serca jak moje, które żadnemu mąż-
rzeniu szczęścia nie dają wiary. Za wcześniej ból je
zwarzył. Znasz pan mój los; do tego co on mi narzu-
cił, nie chcę ja dodawać winy własnej...

— O jedno panią proszę, wzruszonym głosem
przerwał baron; ufaj mi pani i nie oddalaj od siebie.

— Jeślim tego dotąd nie uczyniła, odparła Ma-
rynka—na cóżbym teraz przyjaciela miała poświęcić,
aby uniknąć potwarzy? Wiem bardzo dobrze, iż całe
miasto nazywa mnie pańską kochanką; gardzę tem,
ale w sumieniu mojem chcę być czystą.

Rozmowa ta urwana nadejściem Zosiczowej, nie
wplynęła bynajmniej na zmianę postępowania barona.
Co myślał, czy był zrezygnowany, czy żywił jakie na-
dzieje, zgadnąć było trudno.

Lacerti w kilka dni potem napadła go z szyder-
skim prześladowaniem miłością dla pani ex-dyrekt-
rowej.

Percival popatrzał na nią litościwie a szy-
dersko.

— Przekonywam się, rzekł, że piękna Lanra
całkiem ludzi nie zna. Gdybym był, jak sądzisz,
szczęśliwym kochankiem tej kobiety, dawnobym już
nim być przestał... a jeśli nim nie byłem. dodał, mo-
żesz być pewna, że nim nie będę.

— A kimże tam jesteś? zapytała Laura.

— Przyjacielem, który ma szacunek dla kobiety...
Skłonił się. Cyganka się śmiała.

— Szacunek, jakiego dla ciebie mieć nie można
—dokończył baron, i poszedł.

— On się z nią w końcu ożeni! zawołała za od-
chodzącym patrząc Lacerti.

Plakała prawie ze złości; ostatnie słowa barona dotknęły ją boleśnie. Pałała zemstą.

Na baronie się zemścić nie miała sposobu: na Marynce?—o! cóżby dała, gdyby mogła!

Stawała jej wszędzie na drodze. była przeszkodą. zaćmiewała ją; lecz pozbyć się jej. po tylu próbach nadaremnych. wątpiła już czy potrafi. Napróżno łamała głowę nad obmyśleniem środków jakichś: wszystkie były lub zużyte. lub niemożliwe. Po za tą kobietą stał baron, bogaty, mający wpływy, znaczenie. uparty, śmiały i wyznający głośno szacunek dla niej.

Lacerti trudno się było pogodzić z tą myślą, że Percival nie grał tam roli kochanka; nie mogła pojąć, co by go do niej wiązało? Zaczynała jednak przekonywać się, że w istocie może baron dotąd kochał się napróżno i dla tego nie opuszczał litwinki... Ostatnia z nim rozmowa. tak złośliwie zakończona, miała w sobie wyraz prawdy, w którą niepodobna było nie uwierzyć.

— Jednym środkiem jest odciągnąć ją od niego. znaleźć mu cos nowego, co by zajęło starego bałamnta,—mówiła sobie Laura.

I postanowiła nie zrywać z nim, być jak najlepiej, a próbować, czy się go nie uda oderwać od Marynki. O tem wstydziła się mówić nawet z matką, ale raz wzięwszy do serca, rozważała. przemyslała co barona znęcić mogło. Według jej pojęć. chyba młodość i pewna oryginalność.

Jednego ranka. baron. który wcale nie myślał o Laurze. a sądził, iż mu kilku słów cierpkich nie

przebaczy, zdziwiony trochę zobaczył ją śmiało i wesoło wchodzącą do siebie.

— Prawda, że jestem bezwstydną! żeby się też tak narzucać komu!—rzekła śmiejąc się od progu. Ale kiedy stary przyjaciel niełaskaw, ja, zrzuciwszy pychę z serca, sama muszę do niego!...

Stanęła, nie zrzucając zarzutki, ani chcąc przysiąść.

— Zróbże mi tę grzeczność, odezwała się: zaszczyć salon mój bytnością swoją. Potrzebny mi jesteś.. chwałę się nim...

Baron śmiał się szydersko.

— Na cóż ja tam jestem potrzebny? spytał.

— Jakże? baron! dyplomata! nie rozumiesz, jak przyjemnie figuruje w saloniku biednej spiewaczki? Jesteś reklamą. Proszę cię, przyjdźże dziś.

— A! dziś? rzekł marszcząc się trochę Percival. Dla czego dziś?

— Bo u mnie kilka osób będzie.

Lacerti przysiadła na rożku krzeselka.

— No, ja, dodała, spowszedniałam, nie mam uroku. nudzę cię; ale będzie kilka nowych twarzy-czek. które warto zobaczyć. Zaprosiłam Dolores hiszpankę, tancerkę zachwycającą; będzie mała gruzinka, której nie widziałeś, a jest cudem piękności...

— Ale zkądże ci myśl przyszła urządzić taką wystawę cacek? spytał baron żartobliwie.

— Bo się nudzę sama i chce. aby się u mnie ludzie bawili — zakończyła, wstając Lacerti. A zatem rachuję na barona.

Niewielką wagę przywiązywał Percival do tych zaprosin, ale obiecał przyjść. Przed wieczorem od-

wiedział Marynkę, posiedział u niej krótko i pojechał do Lacerti.

Wieczór był nie tak tłumny i krzykliwy jak zwykle: kilka poważniejszych, łysych figur, zapowiedziane dwa ładne kwiatki.

Dolores. typ hiszpański, młoda jeszcze, piękna bardzo, w towarzystwie matki i brata, przewędrowała już była Europę; znać na niej było obycie się z ludźmi. nawyknienie do hołdów, pewne zubożenie. Mogła być pojętną dla malarza, dla zepsutego człowieka, szukającego wrażeń, ale dla barona nie miała uroku. Mówiono, że była prostą wiesniaczką, lecz nic już wiesniaczego u niej nie pozostało. Przypominała marynetki teatru Guiniol'a.

Gruzinka Taida, młodziesienka, biała jak mleko. z włosami i oczyma czarnymi jak krucze skrzydła. nie mająca pełna lat trzynastu, a wyglądająca na szesnaście, była w istocie zachwycającej piękności. W haremie sultana byłaby niezawodnie pierwsze miejsce zajęła, lecz piękność jej tak nie mówiła nic. tak była bezmyślną, tak jawnie brakło jej duszy, która spała w tym posążku. nie mając się nigdy przebudzić. że chyba ludziom bez myśli i uczucia podobać się i zachwycać ich mogła.

Baron, który był ciekaw piękności i takich typów nowych, z zajęciem począł przypatrywać się i rozmawiać z dwiema zaproszonymi. Hiszpanka zdradzała dziecko już zepsute, ostrożne i obrachowując krok każdy i słowo; z Taidą gruzinką rozmówić się było niepodobna. Zamiast słów, pokazywała białe ząbki. błyskała nieporównanej piękności oczyma, wdzięczyła się ruchami jakiegoś dzikiego zwierzątka.

lecz na tem się kończyło wszystko... Śpiewała źle kilka piosnek i skakała jakiegoś tańca wschodniego; zresztą było to stworzenie przeznaczone na niepomierne utycie i pół senny spoczynek.

Lacerti spostrzegła po krótkim przeciagu czasu, że omyliła się zupełnie w rachubie. Baron bawił się temi laleczkami, ale żywszego zajęcia nie okazał.

Laura zaczęła go badać o gruzinkę, znajdując, że powinno mu być tembardziej do smaku, że miała pochodzić z jakiegoś starożytnego, z ubożalego rodu.

Percival poruszył ramionami i szydersko jej szepnął na ucho, że jeśli te piękności protektorów szuka ją, znajdą ich u... wymienił znane nazwiska.

Kilka takich prób, równie niefortunnnych zrobiwszy Lacerti, nie wiedziała już co ma z baronem począć, i przemyślała, czyby niemożna wpływem jakim pozbyć się go zupełnie ze stolicy, lecz gdy się o to kogoś z przyjaciół bardzo potężnych zapytała, rozśmiał się jej w oczy.

Wybór nowego dyrektora dotychczas nie był jeszcze dokonany.

Dzięki swym rozgałęzionym stosunkom Lacerti dowiedziała się pod sekretem największym imienia przyszłego impresario.

Nie było go jeszcze na miejscu. spodziewano się przybycia co chwila. Wszelkie możliwe o nim wiadomości, postarała się zebrać Lacerti i jednego poranku znikła z miasta.

Nikt się nie mógł domysleć dokąd się udała, lecz że podobne zaćmienia były w jej obyczajach, nikogo to nie zdziwiło. Lanra wiedziała, że przybywający miał się zatrzymać u krewnych w Mitawie, i wybie-

gła na jego spotkanie, które miało nastąpić przypadkiem.

Nowy dyrektor włoch. które swe nazwisko: Rosini, chętnie przez dwa ss wymawiał, dla nadania sobie mitycznego pokrewieństwa z nieśmiertelnym, był sławny więcej ze swych zdolności administracyjnych niż artystycznych. Czterdziestokilkoletni, dużo doświadczenia mający, liczący na pospolitą a nieomylną znajomość serca ludzkiego i umiejący ludzi wyzyskiwać doskonale. Rosini jechał tu wezwany dla zreformowania, zniesienia nadużyć. sam rachując tylko na to, aby zrobił pieniądze. Skąpy był i chciwy.

Brakło mu oprócz kilku osób wyżej położonych, stosunków i znajomości w stolicy: rad więc był bardzo, gdy (zawsze przypadkiem) w domu swych krewnych zetknął się z artystką, której imię już go było doszło.

Lacerti wprędcie odgadłszy człowieka i jego słabostki, w ciągu jednego wieczoru umiała tak zabiegać, tak grunt przygotować, że Rosini żegnając się, prosił jej o audyencyę nazajutrz i ofiarował jej sojusz z sobą.

Lacerti podrożywszy się, nie dawała się niby wyciągnąć na słowa, mówiąc tylko to, co jej było potrzebnem. Odmalowała mu ludzi, położenie, trudności zadania, środki do przełamania ich, tak żywo i przekonywająco, że Rosini całkiem się jej poddał, winszując sobie, że taki traf szczęśliwy dawał mu nieopłaconą pomocnicę.

Chociaż natychmiast miał się udać w dalszą drogę, przyszły dyrektor postanowił zostać dzień dłużej w przekonaniu, iż nie stracił czasu. Laura oprócz

tego, że mu się starała okazać niezbędną potrzebną potrafiła podżyłego i dosyć ostygłego włocha pozyskać sobie zalotnością, pochlebstwy i nadzieją ponfalitych stosunków w przyszłości. Malując mu tych, z którymi się musiał spotkać w teatralnych sprawach, nie ominęła naturalnie Marynki.

Przestrzegając go i kazała mu być nadzwyczaj ostrożnym z kobietą zepsutą, zręczną. odegrywającą rolę nieszczęśliwej i tym sposobem jednającą sobie serca dla wyzyskiwania ludzi.

O talencie litwinki mówiła z pogardą. jakby o czemś przesadzenie rozbębunione. fantastycznym, na głębszych studyach nieopartem; osoby kazała mniakać jako niebezpiecznej i chciwej awanturnicy.

Według niej, zaangażowanie jej do teatru. było dla niego największem niebezpieczeństwem. dla Rosinniego niewolą i t. p.

Laura, aby jej słowom więcej dał wiary. starała się nie okazywać osobiście niechęci dla litwinki, przyznawała jej nawet pewny talent, głosiła się jej przyjaciółką, lecz w interesie sceny radziła mieć się na baczności.

Dała mu do zrozumienia, że ludzie wpływowi. hr. Samsonow, baron i inni, zapewne za nią silnie się wstawiać będą. radziła grzeczne wyłamanie się z pod ich despotyzmu.

— Teatr jak wojsko jednego wodza mieć powinien; mówiła: pan swej władzy nie dziel z nikim. Jeżeli ci ją z rąk wyrwą, nie będziesz panem. i przypłacisz to później npadkiem.

Daleko przebieglejsza i więcej mająca zręczności Laura. narzuciła mu swe przekonania. dała wcze-

śnie kierunek. i z pociechą winszowała sobie wieczoru dnia tego zupełnego tryumfu.

Nikt w świecie nie miał wiedzieć o tem, że się spotkali, że się znali. Ona tejże nocy powracała do stolicy, on miał w kilkadziesiąt godzin po niej się ukazać.

Baron tymczasem spokojny o przyszłość śpiwaczki, gdyż był pewien, że teatr się bez niej nie obejdzie, mało nawet myślał o jakichkolwiek staraniach.

Dowiedział się o przybyciu nowego impressaria obojętnie, nie śpieszył robić z nim znajomości.

W kilka dni wieść się rozeszła po mieście, że Rosini przyjechał już z gotowym pocztem artystów, że nie potrzebował się starać, o nich, i że nowa trupa jest pełna.

Lacerti sama niby strwożona przybiegła do Marynki, zwiastując jej tę smutną wiadomość, iż ona zaledwie mogła wymodlić bardzo skromne pomieszczenie, na przypadek gdyby primadonna zastąpić miała.

— A wy?—zapytała Marynki: nie staraliż się?

— Ja dotychczas nie wiedziałam nawet o niczem...

Z wielką troskliwością o los przyjaciółki Laura nbolewać zaczęła nad tą jej nieopatrnością, nad zaniedbaniem jej przez przyjaciół.

Wieczorem tegoż dnia dowiedział się Percival o tem, zadumał i nie dobrze rozumiejąc, radził cierpliwość.

— Z głosem pani, rzekł, nie potrzeba się napra-

szać nikomu, można czekać...

Marynka, której niepilno było wystąpić, była tegoż zdania, że się narzucać nie wypada.

Do czasu miała za co prowadzić to skromne życie, a potrzebowała wypoczynku... Żadnego więc kroku nie przedsięwzięła. i życie szło swoim trybem, a Juras, któremu się Marynki opuszczać nie chciało, siedział na strychu, szczęśliwy, gdy mu do niej przyjść pozwolono.

- I ona też coby go była powinna odprawić do Berezówki, ociągała się z tem sama przed sobą. nie umiając wytłómaczyć dla czego. Zdawało się jej. że z nim była tu bezpieczniejszą, że ten ktoś swój nieodbitcie był jej potrzebny.

Z nim jednym mogła mówić tak po prostu. tym językiem wsi i młodości swej, który jej lepsze przypominał czasy.

Z jego oczu patrzyło coś tak szczerego, tak tchnącego prawdą i gorącym przywiązaniem, iż on jeden na świecie był dla niej bratem i rodziną.

Zastępował jej niemal matkę. wcielała się w nim przeszłość, wiało od niego wiejskiem powietrzem. niezatrutem wyziewami. które ją dusiły...

Przy nim zapominała o sieroctwie swem. o doznanych boleściach. o wszystkim. Uśmiech nawet i wesołość dla niego powracały. czuła się młodszą...

Była-li to miłość? któż wie? choć może zwykłej jej fizyognomii nie miała, choć wcale różna od pospolitych miłostek, choć się w przywiązanie braterskie przybierać rada, była z pewnością pierwszym biciem serca tego dziewczęcia, a każdy dzień i rozmowa zbliżały ich więcej do siebie.

Juraś kochał się zapamiętane, szalenie, lecz w nim uczucie to pod naciskiem religijnych zasad, którym był wierny, zmieniało się w rodzaj czci i uwielbienia pokornego. Nie myślał ani o pozyskaniu sobie jej serca, boby to grzesznem było, skoro żenić się z nią nie mógł, ani w poufalszem zbliżeniu się, którego znał teoretycznie niebezpieczeństwo.

Głód był tylko dla tej niewiasty tak nieszczęśliwej, zbolelej, osieroconej, życie oddać na usługi, i nie pragnął nic nad to, ażeby przy niej choćby psem podwórzowym mógł być.

Była tak dobrą dla niego, tak względną, tak łaskawą, gdy mu u drzwi w salonie usiąść pozwoliła słuchać dźwięku swojej mowy, dopuściła rozmawiać z sobą, dzielić się myślami, wspomnieniami, że Juraś nic już więcej nie pożądał.

Grzeszne przypuszczenie, aby on, biedny Poterski, proste chłopię, mógł bliżej przystąpić do tego anioła i więcej coś nad końce jego palców ucałować, nad rąbek jego szaty, nigdy mu nawet w myśli nie pozostało...

Pragnął tak jej szczęścia, że nawet bez siebie widząc ją szczęśliwą, byłby Bogu za to dziękował. Taka miłość, na pół z modlitwą i pobożnością zmieszana, dziś wprawdzie jest fenomenem prawie nieprawdopodobnym, lecz Juraś też do ludzi współczesnych sobie nie był podobny. Zdjął suknię, ale dusza jego chodziła jeszcze w czarnej sutannie kleryka.

Sezon teatralny rozpoczął się bez Marynki, a że Rosini umiał przygotować swą salę przy pierwszym jej otwarciu, publiczność była spragnioną, ciekawą, i artyści a artystki za wczasu sobie zjednali przyjaciół i szło bardzo dobrze.

Laura, która mówiła o sobie, że ma tylko dublować jakąś primadonnę, nieprzybywającą dotąd, była na pierwszym planie. Zbierała obfite wience oklaski.

Wprawdzie wielcy znawcy i smakosze mieli dużo do zarzucenia nowemu składowi opery, lecz w początkach należało pobłażać.

O Marynce ludzie, którzy zapominają zawsze najłatwiej, wcale jakoś nie myśleli. Jeden stary hr. Samsonow jej żałował. Ks. Agaton, którego piosnek nie śpiewała, mimo że miał prawie przyrzeczenie spopularyzowania ich, gniewał się na nią.

Baron nie śmiał bardzo sprawy jej popierać, lekając się, aby pogłoski, jakie już chodziły o stosunkach z nią, nie nabrały przez to większego prawdopodobieństwa.

Z otwarciem teatru, Marynka, która żyła zupełnie odosobniona, uczuła jakieś pragnienie widzenia go, słyszenia muzyki, jakąś po nim tęsknicę. Choc zawód ten dał się jej bolesnie we znaki, zostawił po sobie jakiś nałóg, jakieś przywiązanie do tych desek, na których tyle uczuć nieznanых jej wprzód doznała. Mimowoli ciągnęła ją scena.

Baron, który się tego domyslił, przyniósł zaabonowaną łóżę, a że się lękał, by od niej nie odstraszała Marynki obawa jego przytomności, oznajmił zaraz, że ma krzesło w orkiestrze...

Oferze tej rada była bardzo Marynka. Uczęszczała więc pilno na teatr, i powracała z niego prawie poruszona mocno, tak on nie odpowiadał jej wymaganiom i ideałom.

Percival potem słyszał ją z rana rozprawiającą żywo, zajmującą się sceną, zapominającą o wszystkim dla tych kwestyj sztuki, które same prawie umiały ją ożywić i rozerwać jej smutek.

Zdawało mu się, że choćby nie dla zysku i sławy, ale dla tej dusznej potrzeby artystki, która żądała walki, należało jej ułatwić jeżeli nie powrót, to choć ukazanie się na scenie. Był pewien, że naówczas Rosini zostalby zmuszony zamówić ją do swej opery.

Nie uprzedzając o tem Marynki. Percival w celu pozyskania sobie Rosinięgo, zrobił z nim znajomość.

Na pierwszą jednak wzmiankę o Burcelli, dyrektor się zmarszczył i okazał tak absolutną niemożność angażowania jej, taki wstręt, że Percival zdumiony i obrażony, mówić już z nim nie chciał.

Dotknięty był tem mocno.

Nie myśląc więc starać się o stałe zamówienie Marynki, umiał przez drugich tak zabiegać, iż nóż prawie na gardle Rosiniemu położono, wymagając dla niej gościnnych występów.

Opierał się im, zwłóczyć chciał dyrektor, lecz wpływy były tak silne, iż uleść był zmuszony.

Tegoż wieczoru Lacerti, która była już najbliższą przyjaciółką Rosini'ego, i jak mówiono despotyczną nad nim miała władzę, dowiedziała się o tem. i zakrzyknęła. iż nie dopuści nigdy wystąpić Marynce, lub groziła usunięciem się ze sceny.

Rosini napróżno się starał ją uspokoić; pogniawali się z sobą. Poróżnienie jednak nie trwało długo, bo włoszka więcej się obawiała sama, niż mogła nastraszyć.

Dyrektor obiecywał zwłokę, odkładano.

Lecz Percival był uparty. a po za nim różne potęgi stały, dyrektor musiał uleść.

Gdy raz przekonała się Lacerti, że gościnne występy były koniecznością, wszechwładna pani za kulami, zakłęła się. że współzawodnicze na pierwsze jej ukazanie się, przygotuje nieochybną klęskę.

Rozpoczęła zabiegi w taki sposób, tak szafując groźbami i wpływem swym na Rosini'ego, obietnicami, intrygami, że w istocie co najmniej fiasco było nieuchronne.

Baron i wszyscy wielbicieli Marynki byli pewni swego, poprzednie tryumfy uspakajały ich tak i usypiały, że ze swej strony nie widzieli najmniejszej potrzeby przygotowań i ostrożności.

Percival'owi zdało się, że byłoby uwłaczającym genialnej artystce, gdyby powątpiewał o jej powodzeniu. Nigdy jeszcze litwinka na scenie nie doznała zawodu. Rachowano na tego ducha zwycięzkiego, który ją ożywiał, na czarodziejską głosu potęgę.

Pobiegła Lacerti, która najmniejszemi nie gardziła sposobami szkodenia i przeszkadzania. postarała się o to najprzód, ażeby rola, w której śpiewać miała Marynka, jak najmniej przypadła do natury jej głosu i talentu.

Marynka nie odrzuciła jej, choć widziała trudność, uparła się ją zwyciężyć. Powodzenia jej dawniejsze trochę ją uspakajały, rachowała na zapal, który ją był powinien ogarnąć i dać jej siłę.

Pomijając to, że w sali rozsadzić miała Lacerti oddanych sobie sykaczy. wpadła jeszcze na pomysł prawdziwie szatański. Wiedziała, że trudno było onieśmielić Marynkę. iż w charakterze jej było, zrozpaczonej podnosić się z potęgą niezmierną.

Szukała środków sparaliżowania rywalki, przestraszenia jej czemś, zadania ciosu, któryby głos i odwagę odjął. i znalazła w głowie coś tak dziwnego, tak ohydneho razem, tak trywialnego, że pomysł podobny tylko w takim jak jej sercu i fantazyi, mógł się zrodzić. Znajoma i poprzyjaźniona z całym teatralnym światem. była w bardzo poufałych stosunkach z kilku aktorami, celującymi w sztuce przerabiania swych fizyognomij i postaci. na to co chcieli.

Mówiła sobie, że gdyby Marynka wychodząc na scenę, ujrzała tuż w łoży zmartwychwstałego Corsiniego i widmo Volanteo, musiałoby ją to przerazić.

Panowie Alfred i Jules komiccy, którym ten figiel zdawał się bardzo zabawnym, podjęli się ugrymować doskonale. Obaj oni znali Corsiniego i Volanteo. i zaręczali. że postawę. minę, strój, do złudzenia wynasładować potrafią.

Nikt ich za to prześladować nie mógł. a gdyby cel ich był dopięty, Marynka zmieszała się lub omdlała, mieli się łatwo niepostrzeżeni wysliznąć.

W największej tajemnicy cała ta maskarada niecna umówiona była. Dwaj usłudźni artyści mieli się w głębi łoża ukrywać. aby ich za wczasu nie postrzeżono i wystąpić naprzód, na światło dopiero, gdy Marynka wyjdzie na scenę.

Pan Alfred, czulszy nieco. który miał Corsiniego przedstawiać, objawił trochę obawy, aby skutki nie były zbyt groźne; sumienie go ruszyło. lecz Laura śmiechem. szyderstwem, zalotnością, potrafiła go nawrócić.

Odbyto przy drzwiach zamkniętych próbę, i Lacerti krzyknęła z przestachu, tak znakomici artyści doskonale się w role swe wcielić potrafili.

Przygotowania, próby, zabrały dość czasu, Lacerti teraz już się prawie niecierpliwiła i rada była przyspieszyć katastrofę.

Nadszedł nareszcie dzień naznaczony.

Baron postarał się o to, aby teatr był pełny. Ze swej strony miejsca potrzebne dla hałasujących, wcześniej zamówiła Lacerti.

Marynka nie była w usposobieniu takim, jakiego się sama spodziewała. sądząc, że po długim wypoczynku, zapal i natchnienie przyjdą większe; czuła się smutną i znękaną.

Znając jednak siebie i wiedząc, że w chwili krytycznej dopiero odzyskiwała głos i natchnienie, nie obawiała się wpływu tego usposobienia.

Wszystko zresztą szło w początku jak najpomyślniej, słuchacze byli sympatyczni, pierwsze sceny powiodły się i nastroiły ogół do oklasków.

W sali z niecierpliwością wyglądano nkazania się artystki, która liczyła mnogich i zapalonych czcicieli.

Cisza wielka, uroczysta oczekiwania towarzyszyła wyjściu Marynki. której powierzchowność sama robiła zawsze jak najlepsze wrażenie. Część publiczności chciała ją zwykłym powitać oklaskiem, poruszyły się już ręce. gdy z różnych kątów sali dały się słyszeć syczenia złowrogie, uparte. Przyjaciele artystki nie chcąc wywoływać walki, umilkli.

Zmieszana nieco Marynka, wahała się z podniesieniem głosu, serce jej bić zaczęło, lecz męstwo wróciło natychmiast... Śpiew brzmiał podnosząc się coraz i nabierając siły.

Oczy miała zwrócone w głąb sali, i dwa owe widma, które niepostrzeżone wystąpiły, napróżno się nastrezczały jej w pełnem świetle. Marynka ich nie widziała.

Skryta za kulisami Lacerti bladła... śpiew był cudowny.

Wtem wzrok śpiewaczki obiegając salę padł na stojących tuż Corsiniego i Volantego. Nagle krzyk przeraźliwy wyrwał się z piersi, nieszczęśliwa jak obłąkana rzuciła się chwytając się za głowę... zachwiała się i padła na deski.

Piorunowe to omdlenie, którego przyczyny nikt sobie wytłómaczyć nie umiał, poruszyło całą salę...

Co najprędzej spuszczone kurtynę, doktor wbiegł na scenę. Marynka leżała jak bez życia...

Rosini wyszedł zmieszany oświadczyć publiczności, iż nagła słabość na chwilę tylko przerwie widowisko, które z inną artystką natychmiast rozpocznie się na nowo.

Za kulisami Lacerti puściła już wiadomość, że litwinka obłąkania dostała. Wyniesiono ją do pokoi-ku, w którym się ubierała; przyjaciele przestraszeni nadbiegać zaczęli.

Doktor po dwakroć wywiódł ją był z omdlenia, lecz otwartszy oczy, zaczynała krzyczeć. rzucać się i z trwogą niewymowną słabła znowu.

Zosiczowa myślała tylko o tem, jakby ją odwieźć do domu.

Baron już był z powozem i drugim lekarzem na usługi. Juraś stał w progu; wzięto na ręce na pół omdlałą, i wśród rozlegających się na scenie śpiewaków. przeniesiono do karety.

Przez całą drogę trwały konwulsyjne miotania się, płacz i śmiech serdeczny i mdłości.

Wypadek dla tych, co znali dobrze Marynkę, tak był niezrozumiały, iż baron pierwszy wpadł na podejrzenie, że go coś spowodować musiało ukartowanego umyślnie, zbrodniczą ręką.

Domysleć się jednak jakiego rodzaju dopuszczono się zamachu, nie było podobna. Marynka sama do przytomności przychodząc, pytana, nic opowiedzieć nie umiała. Obłąkanemi oczyma rzucała do koła. Głos jej w piersi zamierał.

Dwaj artyści, którzy tak dobrze niepocziwej usłużyli Lacerti, natychmiast po dokonaniu co im polecono, przestraszeni uciekli z łoży i teatru. Zdawało się, że nikt ich dostrzedz nie mógł, i tajemnica zachowaną będzie. Dwóch jednak muzyków grających w orkiestrze, którzy znali dobrze Corsiniego i Volan tego, widzieli te widma, a choć się nie mogli domyśleć kto odegrywał ich rolę, zrozumieli dla czego się tam one znalazły.

Oburzenie pocziwych ludzi było ogromne. Najprzód wśród muzyków w orkiestrze rozeszła się wieść o tych dwóch strachach postawionych w łoży nmyślnie, aby artyście odjąć przytomność i wywołać katastrofę. Wszyscy prawie domyślali się, znając Lacerti, że ona obcą nie była temu niecnemu prześladowaniu.

Ponieważ w początku dwóch tylko świadków mówiło o tem, niebardzo im wierzono, ale wkrótce znaleźli się i inni ze stojących za kulisami, z widzów siedzących naprzeciwko, którzy coś podobnego opowiadali.

W czasie następnego między-aktu po łożach już obiegała wiadomość, niedosyć jeszcze, że zamach jakiś współzawodniczek, jakaś niepocziwa zdrada, wypadek za wczasu ukartowany, były przyczyną omdlenia Marynki.

Znający stosunki teatralne, wpadali już na myśl, że to być musiało sprawą Lacerti.

Ona to właśnie zajęła miejsce zasłabłej i śpiewała jej rolę, chociaż wzruszenie i przestraszenie jakiś czyniły ją tego dnia mniej śmiałą i pewną siebie.

Z prędko gotowego stroju i wszystkich przybórów potrzebnych znający teatr łatwo wnieść mogli, że Laura rachowała na to, co się stało, czekała tylko omdlenia i gotowała się do wystąpienia w zastępstwie.

Zamiast tryumfu, którego się mogła spodziewać, jako improwizująca swą rolę. Lacerti znalazła się w następnych aktach w obec publiczności usposobionej jak najgorzej. W sali powtarzano uparcie, że ona była sprawczynią nierozwikłanego, tajemniczego zamachu. Jest rzeczą pewną, że ludzie w gromadach zebrani, gdy po nich prąd jakiś przeleci, łatwo się mu ująć dają i unoszą się aż do namietności. Zaraźliwem staje się usposobienie mass, i jednostki podniecone niem zdobywają się na odwagę, którejby pojedynczo nigdy nie miały.

Gdy raz zaczęto szemrać przeciw Lamrze, a ktoś szepnął:

— „Wyświstać ją!” poszło hasło to po sali jak iskra elektryczna. Chciano pomścić biedną litwinkę.

Po wielkiej aryi, która miała się zamknąć okłaskami, świst z loży dał się słyszeć przeraźliwy, i natychmiast spotęgował się do wrzawy i hałasu niesłychanego. Stnkano nogami, sykano. świstano. śmiało się.

Lacerti z razu jak ukąszona wyprostowała się dumnie, podniosła głowę wyzywająco, chciała brawować. Spodziewała się obrońców, lecz wprędce gniew zamienił w trwogę, krzyknęła, zakryła oczy i uciekła ze sceny. Pośród hałasu okrutnego musiano po raz wtóry zapuścić zasłonę. Niepodobieństwem było ciągnąć dalej, dyrektor łamał ręce z rozpaczy.

Publiczność. chociaż jej jeszcze brak było zakończenia widowiska, zaczęła tłumnie opuszczać salę. Niektórzy wspinali się na krzesła, i wywoływali:

— Burcelli! Burcelli!

Tak na włoszce pomszczono się, instynktowo winę jej czując, za pokrzywdzoną, która leżała nieprzytomna i na wpół obłąkana, otoczona lekarzami przez barona sprowadzonymi.

Wszyscy oni, nie znając przyczyny tego wypadku. godzili się na to. że wywołany być musiał wrazem jakimś, słowem obelżywym, demonstracją. Baron nie dostrzegł nic, lecz zaprzysiągł się, że prawdy dojść musi i pomści Marynkę.

Zostawiwszy chorą w rękę Zosiczowej i doktorów, powrócił do teatru, aby być świadkiem tego wybuchu niechęci ogólnego, który potępił Lacerti.

Vox populi zdał mu się tu istotnie głosem Boga. I on pewien był, że wszystko to było jej sprawą, lecz co zrobiła? nie wiedział jeszcze.

Przypadek zrządził, że mu ktoś o muzyce powiedział, którzy coś widzieć mieli i o jakimś zamachu opowiadali. Percival znał wszystkie przejścia w teatrze. Wszedł małemi drzwiczkami do orkiestry w chwili, gdy panowie muzycy właśnie swe instrumenta chowali do pudełek i pokrowców. radzi, że się prędzej uwolnią.

W kupce ludzi, którzy żywo rozprawiali, natrafił właśnie na owych dwu świadków.

— Przecież nie mogło mi się przywidzieć, powiadał chustką pstrą ocierający pot otyły wioloncze-

lista, bo oto kolega Majer, który ma dobre oczy, widział toż samo. Ot tu... (wskazał ręką na łożę) w chwili, gdy Burcelli wystąpić miała, zjawili się ci ichmoście... jakby żywi. Tak się tylko ngrymować mogą artyści z profesyi. Jeden, przysiągłbyś żywy Corsini, nawet suknie i krawat jakby z niego zdjęte... drugi kubek w kubek Volanti. Ten też może lepiej jeszcze go skopiował. Smyczek mi zadrżał, gdym ich zobaczył. Stanęli tak, że nie mogła ich nie zobaczyć, ale z początku nie patrzała w tę stronę, dopiero, gdy wzrokiem potoczyła...

Baron, który opowiadania tego wysłuchał, wiedział już to czego chciał się dowiedzieć. Rozumiał krzyk, omdlenie, przestrasz, i całą nikczemność takiego środka użytego przeciw rywalce.

Nie mógł kto inny tego uczynić oprócz Lacerti. Lecz na tej się już mścić nie potrzebował, była zabita. i po wyświstaniu na scenie tak namiętnem. więcej się na niej pokazać nie mogła. I ona leżała w gorączce, pięści podnosząc do góry i płacząc ze złości.

We dwa lata później, ktoby był widział Bere-zówkę, nie domyśliłby się może, iż ogień przeszedł tędy, i że nowa, odrodzona z popiołów powstała. Pobożna ręka tak ją odbudowała. aby pomiędzy zgorzałą a nową najmniejszej nie było różnicy. Trochę świeższym wyglądał dworek. choć u nas drzewo prędko słoty i wichry, upał na przemiany z mrozami oblekają szarą powłoką. Nawet popalone płoty i zniszczone szopki umiano na wzór dawnych w tem samem miejscu skleić z takiego samego materiału.

A był dzień taki wiosenny, podobny do owego poranka, gdy Marynka wybiegłszy na łąkę, na cały głos sobie samej piosnkę śpiewała. co o jej przyszłości miała rozstrzygnąć...

I jak naówczas w krzakach łożyny, w bzach i w olszynach zawodziły słowiki. a wszystko tu tak się mało zmieniło. postarzało, urosło, jakby między chwilą tamtą a teraźniejszością ledwie dzień jeden upłynął. W tej naturze na pół sennej, żyjącej powoli i nieznacznie, trudno było dopatrzeć się postarzenia, różnicy od wczoraj. wzrostu i metamorfozy. Te same kwiatki podnosiły główki z traw bujnych... i na ścieżynce wiodącej do dworku, która tak samo jak niegdyś płowo wśród zielonej murawy wiła się. . powolnym krokiem szedł z tym samym kijem w rękę, w tej

samej czapce pogniecionej, trochę tylko więcej pogarbionej, stary Żantyr. Szedł powoli, suwał nogami, stawał i rozglądał się do koła. Może mu na myśl przychodziło, jak tu niegdyś zaczajonego na posłuchach spotkał francuza.

Żantyr w tem życiu wiejskich ludzi bez wstrząśnień i wypadków, był jak stare olchy. wiek niebardzo go przygniótł, nie przybyło mu prawie marszczek na twarzy, ani na czole, ten sam wyraz dobroduszej obojętności miał na ustach... Tylko wyraz całego lica tego, skórą jakby stwardniałą powleczonego, był teraz smutniejszy.

I niepilno mu było iść do zaścianka. bo coraz to stawał i zamyslał się a oglądał.

Około dworku było cicho, tylko drób się odzywał głosami różnemi. i rozmowy kur, gęsi a kaczek zwadliwe słyszać było.

W szopce gdzieś beczało cielę... z pola rżenie koni dochodziło.

Wiatr wiosenny czasem przelatywał po gałęziach drzew, zaszumiał, i milczenie po nim następowało. Listki drżały jeszcze krótką chwilę i stopniowo wracały do dawnej nieruchomości.

W podwórku czasem ukazywała się podkasana dziewczyna, spiesząc nazad do kuchni i szopek; około stajen przemknął się chłopak bosi w bieliźnie, wpędce potem drób sam zostawał swobodny. gospodarząc na śmietniskach i przy kałużach, które wczorajszy deszcz pozostawił po sobie.

Żantyr od ogródka z tyłu znajomą sobie furtką, którą otworzył rękę przełożywszy na drugą stronę wszedł na podwórko, oglądał się czy kogo nie zoba-

czy, gdy tylnemi drzwiami w ładajakim kubraczku, bez czapki. w butach długich, ukazał się znajomy nam Juraś. Zmęźniał był trochę, ale i on wyraz twarzy miał smutny.

Z dala Żantyr go ręką pozdrowił, a Poterski podszedł kn niemn.

Zbliżywszy się zaczęli rozmowę tak cicho, jakby się obawiali obudzić kogo lub przerwać potrzebny spoczynek...

— Dzień dobry!

— Dobry dzień!

— A co tam u was słychać?

— Nic. wszystko po dawnemu.

— Organista bystro spojrzał mu oczy.

— Nie lepiej?

— Nie gorzej. rzekł Juraś, dzięki Bogu i za to?

— Spokojna?

— Jak była...

— A przytomność?

— Nie powraca... wtrącił smutnie Poterski, i poprawił się zaraz: Nie można bo powiedzieć, żeby nieprzytomna była. Poznajeć ona wszystkich, prawie każdy wypadek, który się z nią i koło niej stał, pamięta, tylko mieszało się wszystko w tej biednej głowie: umarli. żywi, wczoraj i dzisiaj. Mówi o matce jakby na nią oczekiwała, śniadanie i obiad każe gotować dla wuja i proboszcza, którego dawno nie ma na świecie, dla mojego nieboszczyka majora.

Juras westchnął.

— Żeby choć tych łajdaków, co ją o chorobę tę przyprawili. mogła przepomnieć, przerwał Żantyr, możeby ozdrowiała.

— Ale! zawołał Poterski. właśnie z tem bieda, że ona tak ich i te nieszczesne lata pamięta. jakby one trwały jeszcze. Wstaje czasem, spiesząc się do fortepianu, powtarzać rolę. bo niby wieczorem ma wystąpić. Czeką na Volantego. spodziewa się tej lotrzy-cy włoszki. a potem w godzinę zmienia się wszystko i jest znowu w Berezówce...

Żantyr stał sapiąc.

— Toż ta pocziwa stara Żabińska, która jest teraz przy niej. powinna się o to starać, aby ją właśnie ciągle do Berezówki zawracała. Lubi swój ogródek, w to trzeba bić... niech sobie kwiatki sadzi i śpiewa.

— Najgorzej z tym śpiewem, przerwał Juraś, a! to desperacya! Póki stare piosenki nuci, to nic. ale jak wpadnie na te aryje. których się uczyła dla teatru... Pan nigdy nie słyszałeś jak ona je śpiewa? zapytał Poterski, biorąc się za głowę.

— Ale bo wiesz, że ja nie mogę tego słuchać bo płaczę i szaleję, rzekł Żantyr.

— I prawda, jak Bóg miły. że bez łez i nie oszalawszy, nie można tego słuchać, ciągnął cichym głosem Juraś... Ach! ach! Z początku nic... weźmie nuty w rękę, czyta niby milcząc. wodzi po nich oczyma. zaczyna nucić pół głosem, cicho, spokojnie... ale sama posłyszawszy siebie, coraz się bardziej zapala... Twarz się jej mieni. oczy jakby ogniem zapalają. głos rośnie. podnosi się, aż strach, aż człowieka mrowie przechodzi. Naówczas ani jej prosić, ani wstrzymywać, bo nie słyszy, nie widzi. odpycha... Zupełnie tak stoi i porusza się jakby była na scenie... jakby słysza-

ła, że jej klaskają... Powiadam panu Żantyrowi. robi się taka piękna, klękać przed nią... Ale cóż z tego? trwa to dopóki się arya skończy. potem Żabińska musi być w pogotowiu, bo pada bezsilna, z krzykiem, płaczem. dostaje jakiegoś łkania... śmiechu... Strach!.. I choruje... A rzadko ją od tego wstrzymać się nda, mówił Juraś.. Chowamy nuty, zamykamy fortepian... Gniewa się. łaje. każe otworzyć... Żabińska nut nie daje, i to nie pomaga. Weźmie lada arkusz papieru ze stołu i czyta z niego, tak jakby na nim było co napisanego.

Juraś westchnął ciężko.

— A cóż mówi doktor Bagiński? szepnął Żantyr.

— Nic: jak go przyprzeć, to się tylko rozgniewa i mówi mi: Czego wy mnie badacie, gdy ja wiem tyle co i wy? Któż taką chorobę zrozumie? Jutro może oprzytomnieć i być zdrową. albo gorzej jeszcze szaleć. Tu żaden doktor nie poradzi.

— Tak. rzekł smutnie Żantyr. na to może tylko poradzić Bóg, a ten wie, dla czego człowiekowi rozum daje i odbiera... Któż to może wiedzieć? czy jej z tem nie lepiej? Choć czasem ma chwilę spokojną...

Posterskiemu pociecha ta była nie do smaku, skrzywił się.

— Co bo pan Żantyr mówi! przerwał z jakąś bułą. która nie była w jego charakterze. Jak to można utrzymywać. że człowiekowi nieprzytomnemu dobrze? Toć to grzech. a słowo daję, toć to grzech. dodał exkleryk z zapalem: wszak człowiek w tym stanie na zbawienie pracować nie może.

— A prawda! odparł organista: ale i nie grzeszy, bo za to, co czyni, nieodpowiedzialny.

Poterski zżymnął się.

— At, rzekł, gadanie. Dopóty, dopóki ten nieczemny włoch czy francuz żył, co się jej mężem nazywał, to niechby sobie było jak chciało, ale teraz gdy przyszła wiadomość z Marsylii, że go apopleksya ubiła, kobieta wolna... mogłaby...

Żantyr głową pokręcił.

— Tak, dodał, tak... myślisz acan sobie... mogłaby nawet za Poterskiego wyjść.

Juras się zaczerwienił mocno.

— Nieprawda! odparł: ja tego jako żywo nie myślę. Pan Żantyr ma mnie za takiego niecnotę, co tylko dla siebie i o sobie myśli i stara się. A Boga biorę na świadka, ja się jej nie czuję godnym, przez głowę mi to nie przeszło. Czy onaby sobie kogo innego nie znalazła.

Żantyr się zadumał.

— Co bo ci w głowie! rzekł po chwili. Sądziysz, że jabym temu przeciwny był, żebyś się z nią ożenił, gdyby to możliwem było?

— E! dajmy bo temu spokój! zawołał Poterski niespokojny; nie ma mówić o czem.

Stali tak trochę naprzeciw siebie milczący,

— A wczoraj wieczorem jak była? spytał organista.

Jurasiowi niebardzo się odpowiadać chciało.

— Wczoraj wieczorem milcząca była, chodziła raz wraz po pokoju.. wyglądała oknem, jakby na kogo oczekiwała, ale nie powiedziała na kogo...

W chwili gdy to mówili, od strony ogródka dał się słyszeć śpiew.

Żantyr zbladł i zadrżał. łyzy mu się w oczach zakłęciły, stał; ale go ten głos tak ciągnął ku sobie, że choć się opierał pokusie, wstrzymać się już nie mógł i szedł ku ogrodzeniu.

Był to śpiew Marynki. ale jakby reminiscencya dawnych, bardzo dawnych czasów, prosta jakaś wiejska piosuka. bez mądrych koloratur i wykwiutnych popisów głosu... wesoła, swobodna, usmiechnięta. Właśnie ten kontrast wesołości jej z przypomnieniem losu tej, która ją śpiewała. straszny był i tragiczny.

Żantyr polykał łyzy, usta ścisnął.

Wtem z za płotu, za którym stali. nagle ukazała się główka z włosami w nieładzie, w którą popowpinały były świeżo zerwane kwiatki. blada twarzyczka z wyrazem na pół dziecięcym, pół męczeńskim... dwoje oczu i ręka biała.

— Żantyr! zawołała spostrzegłszy go, a widzisz! Czekam, czekam na ciebie, obiecałeś mi i nie przychodzisz. Miałeś ze mną powtórzyć: „Czegoś oczka zapłakała!“ Ja bez ciebie tego nie potrafię.

Żantyr wzruszony tak, że mówić nie mógł, powolnym krokiem zbliżył się do płotu, szukał furtki opieszale. jakby do ogródka wnijść nie śmiał.

— Żantyr, chodź! wołała, ręką go wabiąc.

Wtem spostrzegła i Jurasia, który jakby się chciał skryć, cofał się przed jej wzrokiem.

— A! Juraś!... rozśmiała się do niego. Major jak się ma? Dla czego nie przyjeżdża? W tym kącie siedzi a siedzi...

Żantyr wstrzymał się u furtki, niepewien czy ma wnijść.

— Proszę pana Żantyra, dodała. proszę.

Na ganku od ogrodu ukazała się podżyła kobieta w białym szlafroku, białym czepku, z twarzą łagodną. Patrzała na stojącą w ogrodzeniu Marynkę i czekała, czy jej nie będzie potrzebna.

Była to pani Żabińska, która od roku już przy Marynce bawiła. prawdziwa Siostra Miłosierdzia, bo też i z klasztoru Sióstr wzięta, z którego nowicyatu czasowo tylko oddaliła się dla Marynki.

— Marynko, kochanie! tam pokrzywy są około płotu, ostrożnie...

Obejrzała się do koła przestrzeżona i odstąpiła trochę.

— Byle mama powróciła. odezwała się. muszę jej prosić, aby to zielsko kazała powyrywać...

Odstąpiła ku ścieżce, z głową zwróconą ku furtce, którą miał wniknąć Żantyr.

Ten wahał się jeszcze; nie umiał bowiem w przytomności Marynki zachować się jak należało. Izy lękał, a śmiech jej do rozpacz go przyprowadzał...

Doczekawszy się starego przyjaciela. poczęła iść ku dworcowi, prowadząc go za sobą.

— Jakże się ma wnij? pytała: wieki już jak u nas nie był. Jak się ma?...

— Dobrze... dobrze... zamruczał Żantyr pod nosem.

— A dla czegoż nie przychodzi?

— Nie może... nie może... szeptał organista niechętnie.

Milcząc, wprowadziła go do saloniku, który zupełnie do dawnego był podobny. tylko w miejsce sta-

rego brzęczącego fortepianiku, stał nowy i piękny Pleyela. Nie było na nim nut, bo Żabińska skrzętnie je chowała.

Marynka podszedłszy otworzyła szybko fortepian, i Żantyrowi przy nim miejsce wskazała... Opierając się, powoli sięść był zmuszony. Stała przy nim oparta o róg fortepianu.

— Wiesz, szepnęła, tę włoską piosenkę mi zagraj, której się ja nauczyć muszę, aby mnie i mój głos kupili. Ja to czynię dla mamy... mówisz, że nam mogą dać dużo, dużo pieniędzy?

Żantyr nie dotknął jeszcze klawiszów, ona się zamyśliła. Myśli jej musiały powędrować daleko i przebiec bardzo długą drogę. Zapomniała wnet co mówiła przed chwilą.

— Lacerti będzie zła, — zaśmiała się — o zła! a stary poczciwy Samsonow się s płacze z radości... Wiesz ta arya z „Lucyi...”

Podniosła się i już pierwszych kilka słów poczęła nucić, gdy przerażony tem Żantyr wstał z krzesła.

Widząc go odsuwającego się od fortepianu, przestała śpiewać nagle.

— Mamy nie widać i nie widać, rzekła smutnie. Majora także, wuj nie przychodzi, ty jeden poczciwy pamiętasz o mnie.

Uśmiechnęła mu się i z wolna zsunęła się, siadając na blizkiej kanapce. Żantyr stał przed nią milczący i zmieszany.

Drzwi się otworzyły, i Żabińska weszła niosąc na tacce kawę, którą postawiła przed Marynką zdziwioną.

— Cóż ty chcesz, żebym ja to piła? zapytała Marynka.

— Ale, naturalnie. — odparła Żabińska. nalewając.

Marynka pokręciła główką, i jakby nawykła do posłuszeństwa, machinalnie, bez smaku i ochoty zaczęła pić i jeść, o czem innem zamysłona. Widocznem było, że nie wiedziała co robiła.

Oczy miała wlepione w ścianę i długo nieruchome je tak trzymała. Milczenie panowało w pokoju. Żabińska nie odchodząc, jakby na straży przy niej została u stolika.

Wśród tego milczenia kędy jej myśli uleciały, nikt nie mógł odgadnąć.

Żantyr z politowaniem i trwogą się jej przypatrywał, ruszyć z miejsca nie śmiejąc.

W podwórzu z dala słyhać było głos Jurasia, który ją jakby ze snu przebudził. Przysłuchiwała mu się z uwagą, ale nie powiedziała nic, tylko uśmiezek przesunął się po białych ustach.

— Dobrze chłopię! serdecznie dobre chłopię! odezwała się powoli, jakby sama do siebie. On mnie kocha, ale to nadaremnie... ani jego, ani niczyją być nie mogę. Włochy i francuzi mnie kupili, gdy zawołają, muszę iść... Biedny Juraś!.. Cóż? będzie się modlił! Bardzo pobożny!

Żantyr aż zwrócił głowę, z taką się uwagą przysłuchiwał, i zamruczał:

— Dobry chłopiec, dobry! nie ma słowa.

— Widzisz, poczęła ku niemu aż pochylając się Marynka: ja, gdym tam była, ty wiesz, widziałam wielu bardzo ludzi, młodych, starych, a takiego jak

ten Juraś nie było... Zupełnie inni ludzie, a ten jakby z ziemi wyrósł po deszczu w dzień słoneczny.... Boże stworzenie... tamci wszyscy ulepiani przez kogoś... Dobrze chłopię...

Wstała nagle z kanapki, i już nie mówiąc nic, na opróżnionem krzeselku usiadła przy fortepianie, patrzyła na klawisze, nie śmiejąc ich dotknąć. Potem jedną ręką dobyła dźwięku, który ją całą poruszył. Obie dłonie wyciągnęła drżące... główkę podniosła do góry... chciała sobie coś przypomnieć...

Żantyr drżał, obawiając się być świadkiem jednej z tych scen, o których mówił Juraś, lecz te zwykle wieczorem się trafiały. Uderzywszy kilka akordów, Marynka wstała.

Żabińska niepuszczająca jej z oka, zrozumiała może twogę Żantyra i podzielała ją, i odezwała się zaraz wesoło:

— Że też Marynka ten ogródek tak zaniedbuje! Poszłybyśmy do kwiatków, powietrze dziś tak świeże po deszczu wczorajszym... porozkwitały pierwsze powoje... Chodźmy...

Patrzyła na nią, ale Marynka zadumana nie zdawała się słyszeć co do niej mówiono; cała była w sobie. Żabińska powtórę zagadnęła o ogródku, nie odpowiedziała. Nie widziała też stojącego tuż Żantyra, i otworzywszy drzwi, powoli wyszła na ganek od podwórza.

Brama stała zamknięta: około studni gęsi chodziły i kaczki; stary pies zobaczywszy Marynkę, przywłókł się do niej, i ze spuszczoną głową jej wachał rękę. Pogłaskała go po głowie. Włganku były dwie ławki. Siadła na jednej z nich.

Żabińska, która znała już jej obyczaj, wiedziała, że miała nadejść godzina, kilka razy w ciągu dnia się powtarzająca, milczenia i zatopienia w sobie.

Naówczas nie mówiła nic, nie słyszała co do niej mówiono. i spokojnie dumała długo, ale z czołem pogodnem, z twarzą wyjaśnioną. Gdy za długo to trwało, Żabińska z wolna ją brała za rękę, prowadziła gdzie chciała. Szła posłuszna.

Z tego zadumania wychodziła tak nagle jak w nie wpadała. i poczyniała mówić tak jakby słowa jej były dalszym ciągiem przerwanej rozmowy.

Żantyr popatrzywszy chwilę na nią, na palcach zszedł z ganku. obejrzał się raz jeszcze, i powoli znającą ścieżyną skierował się nazad ku probostwn.

Na drodze spotkał go Juraś. ale już ubrany. z biczkiem w ręku, bo się do gospodarstwa, a potem wybierał do Kąta.

— A co? spytał Żantyr.

— Zamysliła się, szepnął organista. Żabińska przy niej jest. Miałem strach wielki, aby nie śpiewała, bo jabym ryknął z bólesci: słuchać tego nie mogę. Poterski pobladł.

— O! rzekł: żebyś waćpan wiedział, co ja leż od tego śpiewania wylałem! Ono jej te nieszczęśliwe czasy przypomina, a uchowaj Boże, tamtych ludzi jeszcze sobie przypomni,—szaleje.

Żantyr się wstrząsł.

— Tylko jednego tego francuza, barona, który pocciwy był, można jej było przypomnieć. i nic to nie szkodzi: innych niech Bóg broni, dodał Poterski.

Organista nic nie odpowiadając, nacisnął czapkę na głowę, i dalej szedł ścieżką ku plebanii.

Tegoż dnia po południu nadjechał doktor, który tu raczej dla badania choroby i własnej ciekawości, niż w nadziei pomożenia nieszczęśliwej przybywał.

Marynka była już do niego nawykłą. Wzrok jego miał siłę jakąś magnetyczną, która na nią wielki wpływ wywierała. Uspakajala się przy nim, umiał z nią tak prowadzić rozmowę, iż się myślom rozbijałym nie dawał ciągle w różnych kierunkach przerzucać.

Udawało mu się czasem ją prawie do przytomności przywieść i utrzymać czas jakiś, lecz nie trwało to długo; po wyjeździe jego obłąkanie dawne wracało.

Doktor był jednym z tych ludzi, którzy dla nauki i doświadczenia nie wahają się ani siebie, ani chorego poświęcić.

Od dawna miał on na myśli pewną próbę, lecz reszotka jakiegoś politowania wstrzymywała go od jej wykonania.

Zdawało mu się, że silne jakieś wstrząśnienie podobne do tego, które spowodowało chorobę, uleczyby ją mogło. Wiedział zarazem, że próba, która by się nie powiodła, mogła chorej stan nietylko pogorszyć, ale ją o życie przyprowadzić. Walczył z sobą i tą pokusą eksperymentu, która u adeptów nauki dochodzi czasem do namiętności.

Ile razy był w Berezówce. brała go chęć niezmierzona rozpoczęcia doświadczenia, potem obawa jakaś i litość wstrzymywała. Odkładał to na później, a odłożywszy, sam sobie wyrzucał słabość.

Sofizmatami starał się przekonać, że wahać się było występkiem przeciwko nauce, której powinien był służyć więcej niż chorym. W jego przekonaniu chorzy byli tylko egzemplarzami przeznaczonymi do doświadczeń: nie szło o nich, ale o zdobycie nowych dla medycyny faktów. Tu właśnie nastrecała się zřęczność przekonania się, iż podobny stan obłąkania mógł być wielkiem wstrząśnięciem wyleczony, tak, jak był niem spowodowany. Nie były przykładnemi podobne uzdrowienia, chociaż w nich większą rolę grał przypadek niż umiejętnie zastosowanie zasady.

Dnia tego Babski właśnie znalazł swą pacjentkę w takim stanie, który mu się zdawał najwłaściwszym do uczynienia próby. Rozpoczął z nią rozmowę, i jak zwykle, Marynka, w obec mniej znajomego, zachowała się tak, jakby resztką przytomności, wstyd jakiś, nakazywał jej smutny stan ukrywać.

Mówiła z doktorem o rzeczach obojętnych, z pewnym ciągiem i nie wtrącając nic niedorzecznego. Lekarz znajdował ją tak dobrze, iż nie wahał się już z tego korzystać.

Na chwilę odstąpiwszy od niej, szepnął pani Żabińskiej, ażeby mu dała w jej ręku będącą, nadesłaną tu urzędownie metrykę zgonu Volantego.

Posłuszna lekarzowi jejmość, natychmiast dobyła ją z komody, i wcisnęła do ręki.

Doktor usiadł przy swojej pacjentce.

— Znajduję panią dziś daleko lepiej niż ostatnim razem, rzekł, ciągle patrząc jej w oczy.

— Ja. bo się nie czuję chorą. odparła Marynka.

— Gdybyś pani miała tylko silną wolę przyjść zupełnie do zdrowia, ciągnął dalej lekarz, — jestem przekonany. że w istocie ozdrowiałabyś pani.

Nie otrzymując odpowiedzi. ośmielony lekarz ciągnął dalej:

W tej chwili przy mnie, prawda, że możnaby panią wziąć za uzdrowioną, lecz w inych momentach potrzeba czuwać nad sobą. skupić myśli, zebrać wspomnienia. mężnie spojrzeć na przeszłość.

Marynka słuchała jakby nie rozumiejąc.

— Chcę pani dopomódz do uporządkowania myśli i wspomnień, dodał doktor. Uważaj pani dobrze, co mówić będę... Od czego mam zacząć?

Nastąpiła chwila milczenia.

Babski spodziewał się odpowiedzi. otrzymał tylko uśmiech nic nieznaczący.

— Zacznijmy, rzekł znowu, od wyjścia za męża za Volantego?

Spojrzał na nią, brwi się jej ściągnęły, wargi zachwiały, ale nie powiedziała nic.

— Był to człowiek niepocziwy. który panią oszukał; okazało się, że nie miał prawa brać ślubu.

Tu zatrzymawszy się, Babski starał się wyrozumieć, czy Marynka słuchała go i pojmowała co mówił; lecz oprócz ściągnięcia brwi i wysiłku jakiegoś widomego na jej twarzyczce, nic więcej się na niej nie malowało.

Była martwą i jakby lodem powleczoną. Trochę

już zniecierpliwiony niepowodzeniem swej próby Babski poczynął mówić coraz żywiej:

— Było to bardzo naturalnem, że taki zawód. taka zdrada i nadużycie dobrej wiary, mogły pani odjąć chwilowo władzę... mogły wprowadzić w rozpacz... ale dziś... pani nie masz już żadnego powodu do rozpaczania... Wszystko jest skończone... Volanti umarł! pani jesteś wolną.

Twarz Marynki zadrżała. zdawało się, że znaczenie tych wyrazów zrozumiała, z wolna załamała ręce i wpatrzyła się wzrokiem tak naprężonym w doktora, iż on oczy spuścić musiał. a nie chcąc już otrzymanego skutku zmarnować, powtórzył z naciskiem:

— Volanti umarł! umarł! Pani jesteś wolną.

To mówiąc roztworzył papier, który trzymał w ręku, i ukazując nań palcem, zawołał raz jeszcze:

— Volanti umarł!

Oczy biednej obłąkanej zdawały się wyskakiwać z powiek, gdy go słuchała, rumieniec wypływał na twarz, uśmiech dziwny. konwulsyjny wykrzywił jej usta...

— Ach! zawołała. wybuchając śmiechem przerażliwym. Ach!..

Chwyciła się nagle za bok lewy i upadła na kanapę jak martwa.

Doktor pochwycił ją w ramiona. głośno wołając Żabińskiej, która już biegła przelekle.

-- Wody!... soli trzeźwiącej!... krzyczał Babski.

Nim jednak pośpieszono z temi środkami, spostrzegł zbladły i zrozpaczony lekarz. że chora już nie żyła.

Serce jej pękło...

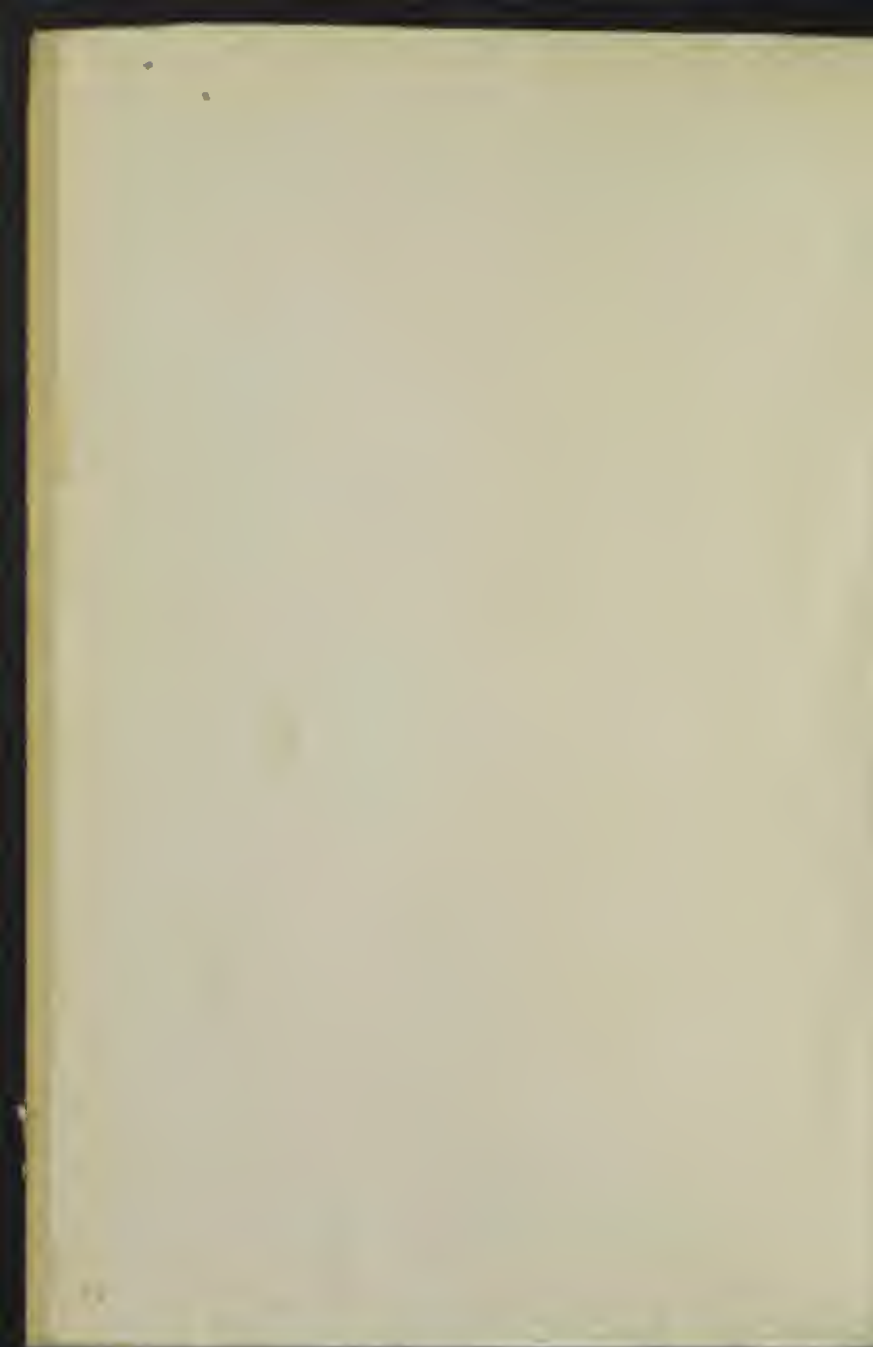
I na tem się skończyła historia biednej męczennicy.

Hyères. Drezno. 1881.

K O N I E C.









Biblioteka Raczyńskich

JK 221



JK0221